MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 24. WARSZAWA, 9 CZERWCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEMCZYZNA NA POMORZU

Dalecy jesteśmy od podzielania obaw, by groziło nam w najbliższej przyszłości niebezpieczeństwo wojny z Niemcami, albo jakichkolwiek, godzących w integralność naszych granic zachodnich, powikłań międzynarodowych. Jesteśmy zdania — że Niemcy, a zwłaszcza rządząca dziś w Niemczech grupa polityczna, na awantury wojenne przez długi jeszcze czas nie będą sobie mogły pozwolić i są pod tym względem bodaj w gorszem położeniu, niż ich domniemani, też przecież wojny nie pożądający, przeciwnicy. A kto nie może sobie pozwolić na wojnę, — kto zatem pozbawiony jest atutu w politycznych rozgrywkach, jaki stanowi groźba wojenna, na serjo traktowana, — ten również i dyplomatycznych, zbyt wielkich sukcesów osiągać nie jest w stanie, pod warunkiem oczywiście, że przeciwnicy jego położenie jego rozumieją i umieją dzięki temu zachowywać zimną krew.

To też dalecy jesteśmy od podzielania obaw, szerzonych przez pewne w Polsce koła, że aktualna jest jeszcze w polityce międzynarodowej t. zw. „sprawa korytarza", to znaczy, że grożą jakieś niebezpieczeństwa przynależności Pomorza, lub jego tej czy innej części do Polski. Jako zagadnienie polityki międzynarodowej, sprawa Pomorza nie istnieje nietylko formalnie, ale i faktycznie. Okres, gdy sprawa ta w polityce europejskiej jeszcze pokutowała, skończył się gdzieś około roku 1931 czy 1932-go.

Nie znaczy to jednak, by sprawa nasza wolna tam była od wszelkich niebezpieczeństw innego typu, niż niebezpieczeństwa, należące do dziedziny polityki międzynarodowej.

Przeżywamy w tej chwili okres spadania na nas dużych klęsk polityczno-narodowych na Pomorzu.

Klęski te są dwojakiego rodzaju.

Po pierwsze — uległa i w dalszym ciągu ulega znacznemu osłabieniu pozycja nasza w Gdańsku. Wprawdzie w prawnem położeniu wolnego miasta nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu pozostają w mocy wszystkie traktaty i konwencje, regulujące stan prawny Gdańska i zapewniające nam tam określoną sumę politycznych uprawnień. Ale w literę prawa, określającego sytuację wolnego miasta, wlewana jest stopniowo, — dokonywająca się niespostrzeżenie drogą dłuższego procesu ewolucyjnego, — całkiem odmienna od dotychczasowej treść.

Dzisiaj rzeczy stoją w Gdańsku w ten sposób, że wprawdzie formalnie Gdańsk jest organizmem politycznym samodzielnym, ścisłemi węzłami zależności prawnej związanym z Polską i z Ligą Narodów i niczem nie związanym z Rzeszą Niemiecką — lecz w praktyce jest on poprostu ekspozyturą Rzeszy. Jak to ktoś dowcipnie określił — Gdańsk jest w tej chwili w unji personalnej z Rzeszą; wprawdzie obie jednostki polityczne zachowują formalnie zupełną niezależność od siebie, jednak władza tu i tam znajduje się w ręku tych samych osób. Te osoby — to jest partja hitlerowska. Dzięki partji hitlerowskiej w Gdańsku i jej najformalniejszemu uzależnieniu od władz partyjnych w Berlinie, Gdańsk podlega najściślej rozkazom z Berlina, dotyczącym nietylko ogólnej linji politycznej, lecz nawet drobnych spraw administracyjnych.

Oczywiście — ten stan rzeczy nie jest bynajmniej wynikiem jakiejś nieuchronnej konieczności. Polityka polska, gdyby była okazała należytą czujność, mogła była podobnemu rozwojowi stosunków przeszkodzić. I jest to jej wielka wina — że nie przeszkodziła. I że i dzisiaj nic nie robi w tym kierunku, by to zaniedbanie odrobić.

Dochowaliśmy się u ujścia Wisły — poprostu ekspozytury Rzeszy Niemieckiej, — z jej agendami rządowemi, a nawet z jej siłą zbrojną w postaci „zglejchszaltowanej" i zorganizowanej na sposób wojskowy gdańskiej policji, oraz w postaci gdańskiego garnizonu hitlerowskich „szturmówek", bezpośrednio władzom berlińskim podległych.

Drugą klęską, której doznajemy — jest wzrost sił niemieckich w województwie Pomorskiem, a zwłaszcza na Kaszubach.

Wystarczy się przejechać po Pomorzu, — zwłaszcza po jego odleglejszych zakątkach, mniej ulegających wpływowi polskiego centrum urzędniczego, jakiem jest Toruń, i polskiego centrum gospodarczego, jakiem jest Gdynia, — by poprostu wzrokowo stwierdzić ujawnioną w liczbie „brunatnych koszul" siłę żywiołu niemieckiego.

Nie mówimy o niemieckich wpływach na Pomorzu w dziedzinie gospodarczej, — o niemieckich kredytach, niemieckich bankach, niemieckiej spółdzielczości, niemieckim handlu, — bo to są rzeczy, znane nie od dziś. Nie mówimy również o wzroście aktywności, energji, pewności siebie i wiary w swe siły nielicznej, żyjącej na Pomorzu mniejszości niemieckiej, której partja hitlerowska dała formę organizacyjną, oraz skupiającą ideję, — bo to są zrozumiałe skutki zjawienia się w narodzie niemieckim wielkiego, rozpłomieniającego wyobraźnię mas, dziejowego prądu.

Dzieje się na Pomorzu rzecz o wiele przykrzejsza: ruch hitlerowski, niemiecki, zaczyna w niektórych okolicach Pomorza (np. na Kaszubach) stawać się atrakcyjnym nawet dla niektórych żywiołów w społeczeństwie polskiem.

Stwierdzone zostało w ostatnich czasach, że do partji hitlerowskiej wstępują nawet czystej krwi Polacy. Mniejsza, że fakty te nie są, jak dotąd, szczególnie liczne. Dość, że się jednak zdarzają.

Niemcy mają dziś wielką ideję, — ideję hitlerowską, — i ta idea staje się dziś atrakcyjna nawet wobec ludności polskiej wewnątrz granic Rzeczypospoltej. Polska równorzędnej idei dziś na Pomorzu nie przeciwstawia.

Przeciwstawiała ją parę lat temu pod postacią OWP, ale OWP rozwiązano. Dokładnie od tego momentu zaczynają się na Pomorzu sukcesy hitlerowskie. Dzisiaj polski ruch narodowy na Pomorzu jest skrępowany, a biurokratyczne i bezduszne (nie mówiąc już o innych ich właściwościach) poczynania sanacyjne, rzecz prosta, żadnego entuzjazmu wzbudzić nie potrafią. Powstałą stąd pustkę ideową wypełnia — idea hitlerowska.

Tak więc, pod rządami polskiemi, trwającemi już lat piętnaście, zjawił się na Pomorzu proces germanizacji, wprawdzie nie masowy, lecz zaznaczający się w życiu Pomorza w sposób zupełnie wyraźny.

Jest to wielka i upokarzająca klęska. Jest to nietylko niepowodzenie — ale i kompromitacja.

X. Y. Z.

POŻAR CZY OŚWIATA?

(Ciąg dalszy)

ROZMYŚLANIE to długie i może nawet niedość poprawne uplanowane jest w sposób następujący: *primo* zakładamy, że Ewangelja Swięta jest nieomylna, *secundo* popłoch i boleść, które wywołuje w nas fakt opisanej przez nią zdrady Piotra tłumaczymy przyczyną naszej niedoskonałości i brakiem pokory, *tertio* spostrzegamy naszą ułomność i widzimy w tem skutek naszej przynależności do warstwy kierowniczej. Jednem słowem, nie Piotra powinniśmy się wstydzić, ale siebie za nadmierną i młodzieńczą ufność w swoje siły. I nie jest tedy sprawiedliwa następująca myśl i jej chełpliwość, która z pewnością w niejednym z nas zrodzi się przy czytaniu Ewangelji: O, my na miejscu Piotra takbyśmy nie postąpili. Bo choć wielu z nas możeby i rzeczywiście nie postąpiło tak jak Piotr, ale byłoby to nie naszą zaletą, ale naszą wadą. Przecież i nie nas powołano, a powołano tchórza, bo widocznie tchórzostwo to z dwojga złego Pan Bóg (użyjemy już tego słowa) łatwiej może ścierpieć, niż naszą odwagę. Tylko my nie możemy ścierpieć ludzkiej słabości i wybaczyć jej człowiekowi. Na zakończenie naszych rozważań pokazaliśmy krańcowy objaw lichej śmiałości na przykładzie owej Niemki szpiega, żeby chociaż w ten sposób uwydatnić doskonałość piotrowego tchórzostwa. Bo kontrast tu rzeczywiście jest zbyt gwałtowny: z jednej strony wielkolud, pierwszy apostoł drży o swoją skórę, a z drugiej taka zwyczajna pani z miasta, z kawiarni, taka, jakich widzimy tysiące, nosząca torebkę z lusterkiem i ołówkami do *maquillage*'u, w niczem nie uchybia przed śmiercią elegancji i salonowej rezerwie, z jednej strony olbrzym, zakładający fundamenty pod całą chrześcjańską Europę, pod cały wszechświat chrześcjański panicznie boi się śmierci, a z drugiej strony kobieta - szpieg, sprzedająca swoją ojczyznę i rozwalająca ją, maluje się jeszcze w ostatniej chwili, jeszcze pod toporem.

Pozwoliliśmy sobie przytoczyć taki długi i uciążliwy wywód, bo naprawdę trudno jest przełamać partykularyzm właściwego danej warstwie społecznej myślenia i odczuwania. Wogóle człowiek nie umie postawić siebie w innej pozycji, niż w tej, w której się znajduje i tylko z wielkim trudem potrafi wczuć się nawet w takie stany i sytuacje, które nie są mu obce, ale którym w danej chwili nie podlega. Tak więc mówi się przecie, że syty głodnego nie rozumie, a możemy dodać, że tak samo i głodny sytego zrozumieć nie może, dalej człowiek nieszczęśliwy wogóle przestaje wierzyć w istnienie szczęścia, a człowiek szczęśliwy niebyłby przecież szczęśliwym, jeśliby nie wierzył, że radość go nigdy nie opuści. Stąd też każda chwila, napotykająca człowieka, jest dla niego rewelacją; zmiany, które zachodzą w jego otoczeniu, ciągle uderzają i zdumiewają go swoją osobliwością. I tak więc każdy świt i poranek zawsze jest rewelacją, i pełne południe, i zachód słońca, i pory roku, boć naprzykład tyle razy wiosna powraca, a zawsze jest ona rewelacją. Owszem, z biegiem lat, im dłużej człowiek żyje, rewelacja ta tem silniej go porusza. I tak samo rewelacją jest dla człowieka, gdy ze wsi przyjdzie do miasta, i tak samo, gdy zziajany miastem znajdzie się nagle wśród pachnącej ciszy wiejskiej i dotknie stopą prawdziwej, miękkiej ziemi. Widać tedy ogromną niezaradność ludzką w stawianiu siebie w obcą dla siebie pozycję i nietrudno zrozumieć, że i wykroczenie rozumem, lub uczuciem poza swoje otoczenie jest niełatwe i wymaga specjalnego wysiłku.

A nie jest to dziwne tembardziej, że warstwa

rządząca trwa wiecznie od początku do końca świata, jest to wieczna, nieprzemijająca instytucja, istniejąca ciągle poprzez wszystkie epoki, rasy i kultury i tem samem jest ona jakgdyby nadzwyczajnie wprawna i rutynowana w narzucaniu swoim adeptom właściwego im światopoglądu, opartego na pysze i zarozumiałości. I dlatego często bywa, że jakaś myśl nasza lub uczucie, które uważamy za najskrytsze i najbardziej osobiste, raptem potem okazuje się elementem napływowym i widzimy, że jest to jakgdyby owoc indukcji „klasowej". W czasach krwawych i ciężkich przewrotów społecznych ludzie mają okazję, żeby się uwolnić od kajdanów „klasowego" myślenia i odczuwania, ale zazwyczaj nawet najkrwawsza i najboleśniejsza rewolucja niewiele uczy warstwę rządzącą, która najczęściej z niezwykłą łatwością i lekkomyślnością powraca do swoich dawnych przywar i grzechów. Grzech ciasnoty warstwy rządzącej uniemożliwia jej rozumienie człowieka prostego—tych miljonów, nad któremi panuje, i to prowadzi do tragicznych nieporozumień i przepaści w narodzie. Czyż naprawdę trzeba tu przypomnieć rok sześćdziesiąty trzeci, kiedy to chłop polski nietylko nie poparł warstwy wierzchniej narodu, walczącej z Moskalem rozpaczliwie i ofiarnie, ale jeszcze pomagał niejednokrotnie wyłapywać po lasach mizerne resztki niedobitków powstańczych [1]).

Wpływy „klasowego" światopoglądu na jednostkę są tak wielkie, że niektórzy ludzie, uświadomiwszy sobie ich znaczenie, skłonni są nawet w dziwaczny sposób przesadzać je i, zatraciwszy elementarną świadomość czy uległszy zmieszaniu rozumu, wogóle zaczynają odrzucać wszelką samodzielność człowieka, zaprzeczać istnieniu wolnej woli, indywidualnej duszy, a wszystkie fenomeny duchowe wyłącznie sprowadzają do działania środowiska. Tak postępują twórcy dość modnego dzisiaj kierunku filozoficznego, który nazywa siebie „socjologicznym" i jest prawdziwym dziwolągiem myślowym.

Atoli najczęściej niedocenia się znaczenia środowiska, a przecież uświadomienie sobie partykularyzmów „klasowych" ważne jest nietylko z punktu widzenia idealnego, ale i dla naszej prawidłowej postawy w życiu praktycznem. Zresztą wskazywaliśmy już na nieszczęścia w narodzie, spowodowane nieporozumieniem pomiędzy warstwą wierzchnią i ludową, co naturalnie pochodzi z nadmiernego wyodrębnienia się i zacieśnienia się w sobie warstwy wierzchniej, która zawsze jest winna. Uświadomienie sobie swej klasowości uczy nas poszanowania dla człowieka prostego, w którym będziemy odtąd szukać uzupełnienia naszej niepełnej mądrości „klasowej". Czyż nie powinienby był np. niejeden z polityków dzisiejszych pouczyć się trochę najelementarniejszego rozumu od chłopa, dajmy na to, dowiedzieć się od niego o tem, że minister w Polsce nie może być żydem, że minister wyznań religijnych może być tylko katolikiem, że pojęcie „naród polski" nie jest zwrotem poetyckim jedynie, bez znaczenia realnego i wielu innych mądrych i pożytecznych rzeczy? Demokrata wprawdzie sądzi, że to on właśnie traktuje człowieka prostego z należytym szacunkiem i pietyzmem, bo daje mu udział w rządzeniu krajem i naucza go (nawet gwałtem) w szkole ludowej, ale my twierdzimy, że szacunek warstwy rządzącej do człowieka prostego winien być oparty na uznaniu jego odrębności, jego swoistej doskonałości i nawet pewnej wyższości. Nie trzeba zapominać, że gdy odbywała się wielka metamorfoza świata, to do najdonioślejszej roli nie powołano ani pana, ani szlachcica, ani uczonego, ani filozofa, ani ministra, ale prostaka, prymityw ludzki, pospolitego rybaka Piotra, człowieka poprostu, człowieka jako takiego, nagiego, bez ozdób i dodatków.

Miłość demokraty do człowieka prostego podobna jest naprawdę do takiego barbarzyństwa, gdy ktoś kogoś z miłości pożera. Bo demokrata, obdarzając człowieka prostego prawami politycznemi i nauczając go koniecznie tego wszystkiego, czego i sam się nauczył, poprostu niszczy go, gdyż upodobnia go do siebie. I jeszcze gorzej, niż upodobnia, bo odbiera mu jego własne cnoty i talenty, a nie dawszy mu cnót i zalet warstwy wierzchniej, zaraża go jej różnemi wadami i przywarami. Jednem słowem, stosując receptę demokratyczną, ze zmieszania chłopa z panem nie uzyskuje się wartość nadrzędna, ale wartość bardzo podrzędna, poprostu tworzy się typ pół-inteligenta, typ czytelnika gazet brukowych. Podobnie ze zmieszania dwu różnych płci w jednym osobniku nie tworzy się wartość nadrzędna, ale nieznośny dla naszych zmysłów typ hermafrodyty.

Posuwamy się tu w rozumowaniu jeszcze dalej i twierdzimy, że zachowanie w pewien właściwy sposób zrozumianej autonomji człowieka prostego i nie zaplątywanie go w troski życia politycznego, do czego on się zupełnie nie nadaje, jest warunkiem absolutnie koniecznym, żeby mogły przebiegać procesy życia narodowego w całej ich rozciągłości. Zresztą dzisiaj nietrudno już widzieć, że te wszystkie prawa polityczne człowieka prostego w takiem czy innem państwie demokratycznem to frazes i fikcja, a on sam jest tylko narzędziem i popychadłem w rękach różnych demagogów z pod ciemnej gwiazdy. Warstwa dolna w narodzie, warstwa ludowa musi być zachowana w stanie do pewnego stopnia nietkniętym, dziewiczym, żeby mogła dostarczać warstwie wierzchniej pierwiastków duchowych jej brakujących. Zagadnienie to jest bardzo obszerne i wymaga licznych i gruntownych komentarzy. Norwid mówi, że misja każdego narodu—to podnoszenie ludowego do ludzkiego. Pierwiastek ludowy można rozumieć jako pewien surowiec duchowy, jedyny i konieczny dla tego, by mogła istnieć twórczość narodowa, w najszerszem tego słowa znaczeniu, czyli wogóle dla tego, żeby naród mógł funkcjonować, żeby wogóle mógł istnieć. O znaczeniu pierwiastka ludowego chętnie zapominamy, a jest to potęga, która wykracza niejednokrotnie daleko poza granice narodu nawet, co przypomina poniekąd obraz pędu szarej topoli, który wyrasta czasami z korzenia, oddalony od pnia głównego o kilkanaście metrów. Tak więc naprzykład w wielu utworach muzycznych klasyków niemieckich spotykamy niejednokrotnie kujawiaki, oberki, mo-

[1]) Warto tu nadmienić, że te same żywioły radykalne które przedewszystkiem parły do wybuchu powstania styczniowego, czyli najlepiej, bo na własnej skórze miały sposobność przekonać się o „niedojrzałości politycznej" chłopa, głosiły zawsze ultrademokratyczne hasła ustrojowe, mianowicie bezwzględnej równości praw politycznych i t. d.

tywy kresowe ukraińskie i t. d. o charakterze często już nietylko swojskim, ale poprostu p a r a f j a l n y m, co, dajmy na to, doskonale ilustruje przepiękny koncert Beethoven'a *D-dur* na skrzypce w swojej pierwszej i ostatniej części. Pierwiastek ludowy jest koniecznością w życiu duchowem ludzkości, jest tworzywem dla warstwy wierzchniej. Bez niego i genjusz nic nie stworzy, bo nigdy nikt z pustego nalać nie może.

Ale pierwiastek ludowy może powstawać tylko wówczas jeśli masy korzystają, jak powiedzieliśmy, z pewnej autonomji. I pod względem politycznym i pod względem duchowym wogóle. Chłopa wyciągnąć na arenę życia politycznego, albo obciążyć go rozwiązywaniem zagadnień ogólnych, społecznych, ideologicznych, do czego on się zupełnie nie nadaje, jest równoznaczne ze zniszczeniem go jako n a r z ą d u, t w o r z ą c e g o p i e r w i a s t e k l u d o w y i jest podobne poniekąd do tego, jakgdyby motylowi ze skrzydeł powycierać pyłek. My, zamieszani w wir zagadnień ogólnonarodowych, nawet zrozumieć często nie jesteśmy w stanie, jak wielka i jak doskonała jest beztroskość i swoboda wewnętrzna człowieka prostego, którego kodeks bytu wmieszcza się całowicie, bez reszty w kilkudziesięciu słowach sławnej modlitwy „Ojcze Nasz". Ale choć trudno jest nam, być może, bezpośrednio odczuć i zrozumieć doskonałość tej swobody wewnętrznej człowieka prostego, możemy z łatwością widzieć tej doskonałej swobody skutki i owoce, które naprzykład przejawiają się w tem, conajniesłuszniej nazywa się „sztuką ludową" [1]). Jeśli zdarzy się komuś oddalić się z otoczenia dzisiejszego bluźnierczego miasta i w dzień świąteczny przejeżdżać naprzykład ziemią łowicką, i zobaczy on tam jaskrawe jak szafiry chaty, malowane ultramaryną na błękitno, i barwne stroje ludu, tę całą polichromję i maskaradę i to kolorowe misterjum wstążek i pasiaków, i zobaczy on ten nieomal egzotyczny kraj, to wówczas może dopiero oceni, ile warta jest owa beztroskość i doskonała swoboda życia wewnętrznego prostaka.

Zagadnienie wewnętrznej wymiany duchowej w narodzie pomiędzy jego warstwą wierzchnią i warstwą rządzoną jest bardzo obszerne i skomplikowane i nie może być zamknięte w ramy niniejszego artykułu. Zresztą, żeby poruszać te zagadnienia, które są właściwie i zagadnieniami ustrojowemi w całej ich rozciągłości, trzeba być i odpowiednio przygotowanym i upoważnionym, atoli na tem miejscu dla zakończenia i zamknięcia i zaktualizowania niniejszych rozmyślań pragniemy zwrócić uwagę czytelnika na niebezpieczeństwo dzisiejszej kultury, albo raczej n i e k u l t u r y, która, wyposażona w potężne środki techniki nowoczesnej, dociera z łatwością i niszczy konieczny w narodzie n a r z ą d, w y t w a r z a j ą c y p i e r w i a s t e k l u d o w y. Daje się dzisiaj słyszeć narzekanie na maszynę: na niebezpieczeństwo stosowania jej w bezkrytyczny sposób i na niebezpieczeństwo rozwoju technicznego wogóle bez przeciwwagi rozwoju duchowego i często się mówi, naprzykład, o niebezpieczeństwie wynalazków chemicznych i wskazuje się, dajmy na to, na grozę wojny chemicznej, albo i bakteryjnej, ale naprawdę równie niebezpieczne i równie zatrważające są dzisiaj środki techniczne, rozpowszechniające w gwałtownem tempie tę n i e k u l t u r ę europejską, co prowadzi nas wszystkich do jakiegoś kompletnego o d b a r w i e n i a, s k r z y w i e n i a, z j a ł o w i e n i a, z m i ę d z y n a r o d o w i e n i a, jednem słowem prowadzi nas poprostu do przepaści.

Nie byłoby łatwo objaśnić krótko a wyczerpująco, co to jest ta niekultura czyli to piętno nowoczesności. Można powiedzieć, że to jest swoista degeneracja ludzka, specyficzna dla miast nowoczesnych. Nie wdając się w bliższe jej określenie, zaznaczymy tylko, że jest ona równoznaczna z zatraceniem najlepszych skarbów ludzkiego umysłu i serca. Jest to zepsucie człowieka i fizyczne i duchowe. Lecz trudno opisywać te zjawiska, chociażby z braku odpowiedniego słownictwa, co zresztą pochodzi stąd, że wiedza dzisiejsza, operująca zgrubiałemi palcami przyrodnika, nie zna dokładnie m o r f o l o g j i człowieka, p e ł n e g o s k ł a d u jego istoty, i używanie wszelkich podobnych zwrotów jak duch, uczucie, instynkt, rozum i t. d. wprowadza nas zazwyczaj w świat mglisty i fantastyczny. Jednak oczywistym i łatwo namacalnym przejawem tego zwyrodnienia jest np. kompletny upadek sztuki wszędzie tam, gdzie dociera trujący powiew miejski, albo, dajmy na to, gwałtowne wymieranie rodzin, osiadających w nowoczesnem mieście, które z reguły, jak uczy statystyka, zdolne są utrzymać się przy życiu przez parę pokoleń zaledwie. Człowiek, uległszy tej degeneracji, podobny jest do kwiatu wyrobionego z bibułki kolorowej na łodydze z drutu. I jeśli jest on nawet na oko wesoły, to jednak naprawdę szczęśliwym być nie może, jeśli i wydaje się zaradnym i obrotnym, to w rzeczywistości jest inwalidą, a jeśli i posiada bogactwa, kamienice i limuzyny, to jednak sprawy to nie zmienia, że jest on p r o l e t a r j u s z e m d u c h o w y m. Teologja uczy, że świat cały jest skażony — to prawda, ale miasto nowoczesne jest takie, że rzeczywiście robi wrażenie, iż przeżywamy jeszcze raz grzech pierworodny.

Proces ten bolszewicy rosyjscy jeszcze przyśpieszają i wyobrażają sobie, że przerobiwszy chłopa w skoszarowany proletarjat traktorowy uszczęśliwią i jego i całą swoją Eurazję, my natomiast twierdzimy stanowczo, że dopóki na koszulach rosyjskich (których nawet, mówiąc paradoksem, może nie być) nie pojawią się nowe hafty i ozdoby i nie zanuci się na polach nowa piosenka ludowa, a to się wcale nie zapowiada, bo lud ciągle chodzi w szarych, proletarjackich, aresztanckich i bolszewickich płachtach, dopóty o szczęściu niema mowy. Przyjemnie było usłyszeć w mowie p. ministra Poniatowskiego pietyzm, z jakim się on odnosi do ludu polskiego i jego związku z ziemią, który nazwał tajemniczym i cennym i nawet cenniejszym od doraźnych korzyści gospodarczych, ale — cóż z tego, jeszcześmy historji XX wieku nie odmienili, która prowadzi nas, powtarzamy, do przepaści.

(Dok. nast.) LEON MACIAŃSKI

[1]) Słowo „sztuka" dobre jest tylko dla twórczości warstwy wierzchniej, która tworzy „sztucznie", stosując cały arsenał środków, recept, przepisów, tworzy z wysiłkiem, wijąc się w boleściach, w „mękach twórczych" — Słowacki: „Ty wiesz, jak cierpieć muszę, abym śpiewał".

NAJWIĘKSZY POETA FRANCJI...

W DNIU 22-im maja b. r. upłynęło 50 lat od śmierci Wiktora Hugo. Jak wiadomo, został on oddawna uznany przez władców Trzeciej Respubliki za największego poetę Francji, z tego więc powodu spływały na niego, za życia i po śmierci, takie honory, jakiemi nie zaszczycono żadnego innego z wielkich poetów francuskich. Nie mówiąc już o licznych obchodach na jego cześć (najgłośniejszym był obchód z powodu dojścia do 80-go roku życia), zwłoki W. Hugo złożono w Panteonie, ze specjalnej katedry w Sorbonie głoszą nieustannie jego chwałę oraz niezrównaną wielkość dzieła (obecnie prof. Ascoli), słowem kult jego imienia i twórczości utrzymuje Trzecia Rzeczpospolita od chwili swego powstania— po dzień dzisiejszy.

Z biegiem lat wszakże, chociaż nie brak było zawsze wielbicieli jego utworów wśród szerszego ogółu oraz wyznawców z urzędu, urok osoby i genjuszu W. Hugo zmniejszył się do tego stopnia, że wielkość jego oficjalna poczęła się często kłócić z tą, jaką mu słusznie odmierzono w literaturze i w opinji światlejszych sfer społeczeństwa.

W tym procesie „przewartościowania", spotykamy się z faktami, które niewtajemniczonych w jego rozwój mogą razić swoją drastycznością, budzić niesmak, bądź gorszyć. Oto dla przykładu: niedawno dobry znawca — wśród Niemców — literatury francuskiej, prof. E. Curtius, na zapytanie, zwrócone do wybitnego pisarza, A. Gide'a: „Kto jest największym poetą francuskim?"—otrzymał krótką odpowiedź: „Hugo, niestety". *(„Hugo, hélas“).* Ostatnio, właśnie gdy zaczęto poruszać w prasie sprawę uczczenia pięćdziesięciolecia zgonu poety, znany powieściopisarz, Claude Farrère, nazwał go „największym głupcem XIX wieku" *(„le plus grand imbécile du XIX s.“)* i tem bluźnierczem zdaniem nie zamknął sobie podwoi Akademji Fr.

Słowem, owo „odwrócenie" wszelkich wartości, związanych z imieniem W. Hugo, zaszło tak daleko, że można o nim mówić z ubolewaniem, iż uchodzi za największego poetę, i obrzucać go dosadnemi epitetami, nie szkodząc sobie wcale w tego rodzaju instytucjach narodowych, które są powołane między innemi do dbania o cześć wielkości literackich.

Pomyślmy tylko: czy znalazłby się jaki Włoch, Anglik, Niemiec, Polak — oczywiście o zdrowych zmysłach i odpowiedzialny za to, co mówi, który w podobny sposób ośmieliłby się wyrazić o Dantem, Szekspirze, Goethe'm, Mickiewiczu?

Jeśli we Francji zaszło coś podobnego w stosunku do W. Hugo, świadczy to, że przyznany mu urzędowo tytuł największego poety na dość chwiejnych wspiera się podstawach, oraz że istnieją poważne wątpliwości, czy nie zaszła tu jakaś pomyłka, czy inne, niżeli literackie, względy nie zadecydowały w tym wypadku o jego wyjątkowem wyróżnieniu wśród poetów Francji?

Kto zna stosunki francuskie, ten wie, że tu— jak i w dziedzinie polityki — zachodzi wielka rozbieżność pomiędzy tem, co myśli o W. Hugo z jednej strony „kraj legalny" *(„le pays légal“)* z drugiej zaś „kraj rzeczywisty" *(„le pays réel“)*, t. j. świat literatury i sztuki.

W tym „kraju" literackim odmawiano często W. Hugo pierwszeństwa, i sądy o nim formułowano nieraz tak bezceremonjalnie, jak tego parę próbek podałem wyżej.

Posłuchajmy: zjadliwy, ale trafny i przenikliwy sędzia, Sainte-Beuve, powie raz np., że „Hugo dramatyczny to—Kaliban pozujący na Szekspira", znów innym razem będzie on dla niego „największym krzykaczem pindarycznym" i t. p. (Nie wspominam już o gruntownej ocenie twórczości W. Hugo przez tego wielkiego krytyka). Inny wielki krytyk XIX wieku, H. Taine, nazywa go „gwardzistą narodowym w stanie szału" *(„un garde national en délire“)*; znakomity polemista katolicki, L. Veuillot, genjusz poetycki W. Hugo utożsamia z wiatrakiem mielącym same słowa, istotę zaś moralną charakteryzuje przezwiskiem: *„Jocrisse à Pathmos“*, piętnując w ten sposób obłudną apokaliptyczność poety. Gdy J. Lemaitre, już na schyłku XIX w., zacznie rozważać twórczość W. Hugo, to zamiast Jocrisse'a wstawi inną postać, symbolizującą typową miernotę i szablonowość myśli, mianowicie Flaubertowskiego aptekarza Homais (*„Homais à Pathmos“*).

No — to są Zoile, a jakże wypowiadali się bracia w Apollinie? Ci, może z jeszcze większą cierpkością i ubolewaniem, mówili iż, W. Hugo, który ma „do dyspozycji swojej tyle pięknych obrazów, nie posiada cienia zdrowego sensu, ani wstydu, by się powstrzymać od mówienia rzeczy płaskich, niegodnych uczciwego człowieka" (sąd P. Mérimée). K. Baudelaire, zmuszony z rozmaitych względów do wyrażenia W. Hugo nieco zdawkowych pochwał z powodu jego „Nędzników", tak następnie mówi o tem w liście do swojej matki: „Książka ta jest obrzydliwa i bezsensowna. Dziękując mi, napisał do mnie list bezwzględnie śmieszny. Dowodzi to, iż wielki człowiek może być głupcem". Inny przyjaciel, Lamartine, z powodu tychże „Nędzników" tak pisał: „Pragnę wziąć w obronę społeczeństwo, rzecz świętą i konieczną, chociaż niedoskonałą, przeciw przyjacielowi — rzeczy delikatnej. Człowiek przeciw społeczeństwu — oto prawdziwy tytuł tego dzieła, które jest tem zgubniejsze, ile że czyniąc z jednostki ludzkiej istotę doskonałą, czyni ze społeczeństwa, stworzonego dla człowieka przez człowieka, skupienie wszelkich nikczemności ludzkich".

Nawet podczas obchodów „narodowych", urządzanych na cześć W. Hugo, trudno nieraz było uniknąć głosów bardzo krytycznych, bowiem braki i wady jego twórczości tak rzucały się w oczy, że nie dawały się przykryć zasłoną konwencjonalnych zachwytów.

Zajmując się, od wielu lat, sprawami literackiemi Francji, zwracałem i na to nieraz uwagę, a co ciekawsze druki zbierałem; posiadam między innemi parę z obchodu stulecia urodzin W. Hugo. Cóż w nich znajduję? Oto nie byle kto, bo Anatol France, tak przy sposobności charakteryzuje poetę: „W. Hugo nie posiada umiaru, dlatego iż nie jest ludzki. Tajemnica dusz nie była nigdy mu objawiona. Nie był stworzony do rozumienia i kochania. Czuł to instynktownie i dlatego pragnął zadziwiać. Posiadał długo tę władzę — czy można jednak zadziwiać ciągle? Żył, upajając się dźwiękiem i barwą, i upajał niemi świat. Cały genjusz jego na tem polega".

W tym samym *„Journal des Débats“* (1902 r.), znany publicysta i literat, I. Bourdeau, tak pisze: „Postacie W. Hugo są niczem innem, jak tylko wykrzywiającemi się lalkami z drzewa: fabrykuje on je z jednej sztuki, oddając na pastwę jedynej namiętności, bądź rozdzierając sprzecznemi stanami duszy. Nadużywa przytem antytezy, niesmacznie powiększa, jęczy z powodu człowieka, który jest jednocześnie błękitem i błotem... Wartość idej nieodpowiada u niego wspaniałości formy, niezrównanemu bogactwu słów, co jak płaszcz purpurowy, połyskujący drogiemi kamieniami, zarzuca on na bardzo zużyte manekiny”.

W tym samym czasie, jeden z wielbicieli W. Hugo, bliski mu wiarą we wszelkie majaki postępu i demokratyzmu, typowy *„dreyfusard“*, prof. P. Stapfer, w książce wartościowej, poświęconej zbadaniu pewnej, silnej strony twórczości poety (p. *„W. Hugo et la grande poésie satirique“*. Str. 349), tak charakteryzuje rodzaj jego wyobraźni: „Przejście poety” — pisze — „od jednego kultu do drugiego było, w gruncie rzeczy, niczem innem jak tylko zastąpieniem jednego tematu literackiego, płodnego w świetne obrazy oraz we wspaniałe poruszenia duszy, — znów innym, który wydawał się mu bogatszym pod tym względem. Jego katolicyzm i rojalizm wszedł mu do serca przez wyobraźnię; jedno i drugie zostało zeń wygnane wcale nie wskutek głębszego kryzysu jego umysłu, lecz z powodu nowych wymagań jego słownika, wskutek szybkiego rozwoju jego gammy poetyckiej, co, zadowalająca się naprzód zwykłym klawiszem, wnet domagała się innych nut oraz symfonji całej orkiestry. Obraz zatem, słowo, wyraz — oto co zrodziło wszelkie teorje religijne, polityczne, moralne i literackie W. Hugo”. (Str. 53).

Tego rodzaju oceny i charakterystyki twórczości W. Hugo, jakich można wybrać bez liku z nader obfitej literatury jemu poświęconej, świadczą, iż ludzie, nawet bliscy mu ideowo, jeżeli nie byli pozbawieni krytycyzmu oraz rzetelności pisarskiej, nie mogli uniknąć konieczności pokazania go takim, jakim był w istocie.

Wszyscy, co o nim pisali i sądzili go, zarówno bardzo nim zachwyceni, jak i mało ulegający jego urokowi, — wszyscy zgodnie przyznawali mu jedno, mianowicie: olbrzymią wyobraźnię, bogactwo dźwięcznego i barwnego słowa oraz potęgę ekspresji; ale też niemal wszyscy, jedni słabiej drudzy silniej, kładli nacisk na to, iż olśniewająca bańka jego twórczości była dość pusta wewnątrz, że myśl jego często była płytka, uczucie rzadko z serca płynące, a spadająca z wysokości niebotycznej jego Niagara werbalna, wprawdzie mogła oszałamiać i zadziwiać, mogła wstrząsać grubo fizyczną istotę człowieka, duszą jego wszakże nie była w stanie na dłużej zawładać.

Posiadał W. Hugo władzę zadziwiania świata, ale tej władzy nawet jego pokolenie romantyczne niezbyt ulegało — a byli wśród niego nawet tacy (Musset np.), co z niej podrwiwali — i więcej z ogólnych źródeł romantyzmu czerpało swoje natchnienie, niż od swego oficjalnego wodza, który najgłośniej wykrzykiwał jego hasła i sam się wciąż wysforowywał naprzód.

A gdy przyszły następne pokolenia, a z niemi inne poetyki i estetyki, inne hasła twórcze oraz ambicje, to władcami ich dusz stali się inni mistrze, W. Hugo zaś znalazł się na drugim planie, i chociaż kult jego był niejako tradycyjnie uznawany, w duchu wszakże niebardzo go odprawiano.

W okresie prądów literackich, co jak naturalizm, symbolizm i t. d. — albo mieszały się z romantyzmem, bądź mu się przeciwstawiały, więcej natchnień twórczych szło od Leconte de l'Isle'a, Baudelaire'a, Mallarmé'go, Rimbaud'a, Verlaine'a, Moréas'a i t. p. niż od majestatycznego „ojca” — W. Hugo. Jak go w tych czasach oceniano — a z nim także romantyzm — o tem, kto ciekaw, może się przekonać między innemi z głośnej niegdyś bardzo książki Ch. Morice'a *„La littérature de tout à l'heure”* (1889 r.), której autor wykazywał zużycie się „formuł spełnionych” i zapowiadał nowe.

O W. Hugo tak się tam między innemi odzywa Morice: „Jego oryginalność”—formułował — „polega na naśladownictwie całego świata (tu wyliczenie wszystkich naśladowanych, swoich i obcych). Zresztą naśladuje genjalnie, posiada oryginalność bycia obfitszym od swoich wzorów; popełnia także ten błąd, iż rozluźnia wszelkie sprężyny, jakich dotyka. Jest wymowniejszym od wszystkich, lecz ta elokwencja jest tylko grandilokwencją, która nie przemawia w imię poważnych wierzeń. Jakież to są wierzenia W. Hugo? Kocha Woltera! Ośmieli się złączyć w jednem zdaniu imię to z Chrystusem! — a wiersze jego filozoficzne składają się z samych imion własnych. To prawda, iż posiada on nadzwyczajne zalety swoich niezwykłych wad. Dzieło jednak jego jest bezindywidualne i wydęte — próżne”. Poglądy te — powiada dalej Moric.e — „wydadzą się ryzykownemi, zostały jednak powiedziane nie bez namysłu. Wydadzą się pozbawionemi szacunku dla genjusza, przeciwnie: są oparte właśnie na tym szacunku. W. Hugo uciskał swój czas, nie trzeba żeby uciskał przyszłość; trzeba aby przestano wierzyć, iż on wszystko urzeczywistnił. Trzeba wyznaczyć należne mu miejsce cudownego artysty i drugorzędnego poety”. (str. 198-9).

Ten antyhugoski ogień tyraljerski będzie odtąd podsycany nieprzerwanie aż do dni naszych. Utrzymują go liczni pisarze świetnego talentu, bystrego krytycyzmu i przenikliwej myśli. Dość tu wymienić takich jak: J. Lemaitre (proszę wziąć do rąk 4-y tom jego *„Les Contemporains”* i t. p.), Ch. Peguy, Ch. Maurras, P. Lasserre, Leon Daudet, Bellessort i t. p., którzy nie dla samej zabawy — a bawić się tym przedmiotem można po królewsku — ostrzą na W. Hugo swe wyborne pióra, lecz po to, by uchronić ludzi od złudzeń i oczadzeń, płynących z fałszywej sztuki, oraz dać im słuszną miarę do oceny jej wytworów.

A gdy przytem rozwiną się jednocześnie studja nad poszczególnemi rodzajami twórczości W. Hugo i nad całym romantyzmem francuskim (p. między innemi syntezę ideową i moralną romantyzmu w kapitalnem dziele P. Lassere'a *„Le Romantisme français”* 1907 r.) — to coraz więcej przybędzie dowodów na to, że W. Hugo należy się niewątpliwie, pomijając jego wady, przesady i fałsze, jedno z pierwszych miejsc w literaturze Francji, nigdy zaś najpierwsze i jedyne, i że obok niego są mu równi, nieraz oryginalniejsi (jak Musset w dramacie), głębsi i szczersi (jak Lamartine, Baudelaire i t. p. w liryce), filozoficzniejsi (jak de Vigny), a także wyżsi i szlachetniejsi, jako jednostki moralne.

To stanie się w końcu do tego stopnia monetą obiegową, że będzie włączone do podręczników szkolnych, i to, jak dotychczas, najlepszych, jak np. G. Lanson'a i t. p. Może tam każdy czytać: „Człowiek, moralnie rzeczy biorąc, dość mierny: ogromnie próżny, chciwy uwielbienia świata, wciąż zajęty efektami, i zdolny do wszelkiej małostki, by siebie powiększyć... Wielki artysta o duszy bardzo burżuazyjnej, pracowity, stateczny, ludowy *(peuple)* z powodu pewnej gburowatości temperamentu, ociężałej jowialności, oraz brutalnej złości; natura w gruncie rzeczy wulgarna i mocna, gdzie panuje niepowściągliwy egoizm". (Str. 1035).

Powyższe poglądy na twórczość W. Hugo, których liczbę — powtarzam — znacznie można zwiększyć, służą przedewszystkiem do ustalenia dwóch faktów: *primo*, iż w głównej dziedzinie jego działalności, t. j. w literaturze, nie uchodzi on za największego poetę Francji; *secundo* — że spór o to nie toczy się — jak to niektórzy pragną przedstawić — pomiędzy „prawicą" i „lewicą", „reakcją" i „postępem" i t. p., gdzie „prawica" jest przeciw W. Hugo, „lewica" natomiast za nim.

Przecież ani wzniosły republikanin, Lamartine, ani przyjaciel Jaurés'a, socjalizujący A. France, ani A. Gide — od roku komunista, ani prof. Stapfer, wzorowy „postępowiec" i t. p. nie są reakcjonistami", czy monarchistami, słowem wrogami „postępu", demokracji i ludzkości, czego rzecznikiem i sługą bezinteresownym miał być W. Hugo.

Ci oraz inni „lewicowcy", zarówno jak i „prawicowcy", jeśli nieraz niezbyt korzystnie odzywali się o nim, to głównie dlatego, iż nie lubili głupstwa, choćby w najwspanialszej formie podanego, nie widzieli powodu do bałwochwalczego uwielbienia poety i nie sądzili, żeby wszystko w nim, *„en bloc"*, było doskonałe. Spór o W. Hugo toczył się przedewszystkiem na tej podstawie, i można już dzisiaj stwierdzić, iż został rozstrzygnięty na korzyść tych, co go poddali, bez ogródek, poważnej i zasłużonej krytyce, wskutek czego okazało się, że niepodobna go uważać za największego poetę Francji.

Pomimo to wszystko, w spór ten wszedł ktoś trzeci, wcale niepowołany do rozstrzygania związanych z nim zagadnień, i swoją materjalną powagą zadecydował, iż jest inaczej, że W. Hugo był i pozostaje największym poetą Francji, a wskutek tego należą mu się wyjątkowe honory, najwyższa cześć całego narodu.

Tym trzecim było państwo Trzeciej Republiki t. j. wszystkie reprezentujące ją rządy.

Na niewłaściwość państwowego załatwienia tej sprawy zwracano niejednokrotnie uwagę (p. między innemi J. Lemaitre'a *„Les Contemporains"* 4 tom), wykazując przytem, że jest to niesprawiedliwością wobec innych wielkich poetów Francji.

Te lub inne protesty nie zmieniły stanu rzeczy, a W. Hugo, z wyroku władców Trzeciej Respubliki, uważany jest wciąż za „jedynego", największego jej genjusza poetyckiego.

Za jakie więc zasługi osobliwe względem narodu, za jakie czyny patrjotyczne?

A więc nasampierw za to, że był wrogiem Napoleona III oraz Drugiego Cesarstwa, zwalczając pierwszego i drugie tak nieprzejednanie, jak tylko mógł zwalczać człowiek srodze zawiedziony w swoich rachubach i ambicjach, zwłaszcza z powodu Ludwika Bonapartego, którego przecie, z początku jego karjery, sam promował na prezydenta Respubliki.

Dalej za to, że będąc — jak się o W. Hugo wyrażał E. Renan — „panteistą dla siebie, a deistą dla świata", wtłaczał w mózgi mas, hasło Gambetty i t. p.: *„le cléricalisme voilà l'ennemi"*, zwalczał Kościół oraz duchowieństwo katolickie.

Wreszcie za to, że przez kilkanaście lat swego wygnania, i po trjumfalnym powrocie z niego do kraju, po obaleniu „tyrana" — stał się przysięgłym heroldem wszelkich, obowiązujących nieskazitelnego republikanina i demokratę, zasad i utopij, na jakich wspiera się ustrój republikańsko-demokratyczny.

Na tem polega polityczna *„Toute la lyre"* (tytuł jednego ze zbiorów poezyj) W. Hugo. Tu się znalazły, odgrzane i wyolbrzymione, wszystkie ideologje rewolucyjne i demokratyczne: wiara w nieskończony postęp, zmierzający zawsze na lewo, w dobroć i nieomylność mas ludowych, w Stany Zjednoczone Europy, w braterstwo ludów, zniesienie granic pomiędzy państwami, powszechne rozbrojenie i t. p. szczytne brednie XIX-go wieku, którym życie wciąż zadaje kłam, co służą „bajecznym" karjerom poszczególnych jednostek, niosą natomiast zagładę odrębnym Ojczyznom.

Tu już W. Hugo występuje nietylko jako historjozof i myśliciel polityczny Trzeciej Respubliki, lecz i jako wieszcz i prorok! Na jak niewysokim poziomie intelektualnym utrzymuje się wciąż to wieszczenie i proroctwo, jak jest uproszczone i wulgarne — na to zwracają uwagę liczne prace ostatnich czasów (chociaż uwzględniano to i dawniej): L. Daudet'a (w wielu szkicach i artykułach, w książce *„Le stupide XIX-me siècle"* i t. p.), Lacretelle'a (*„Vie politique de V. Hugo"*), Bellessort'a, a przedewszystkiem G. Batault (*„Le Pontife de la démagogie"* 1934 r.) [1]).

Z prac tych okazuje się, że natchniony wieszcz, jak stwierdza Lacretelle, schlebiał zawsze władzy i „ubóstwiał boga chwili, jeśli był silny i popularny", gdy chodzi natomiast o proroka, to ten, jak go przezywa L. Daudet, był „prorokiem naodwrót" (*„le prophète à rebours"*) — to znaczy, iż jego proroctwa najczęściej sprawdzały się w sensie przeciwnym.

A wszystko to głoszone było światu z nadużyciem fajerwerkowych antytez i przenośni, spadało na głowy ludzkie szumną kaskadą epitetów oraz imion własnych, uwidoczniając raz jeszcze to, czem wogóle wieszcz i prorok zawsze grzeszył, mianowicie: stały rozdźwięk pomiędzy ubóstwem myśli i bogactwem wyrazu.

Czytając to wszystko, tę naiwną grandilokwencję — można się nie dziwić apostrofie Claude Farrère'a.

Nie chciałbym, żeby, po przeczytaniu tego, co napisałem, ktoś mógł mnie posądzić o jakąś szczególniejszą niechęć do wieszcza Trzeciej Respubliki. Tak nie jest! Przeciwnie — żywię dla niego nie jedno dobre uczucie. Naprzód, jako Polak,

[1]) Tę ostatnią książkę już i u nas starają się przedstawić, jako rzecz „trzeciorzędnego" pisarza. Wolne żarty! Autor jest tęgim pisarzem, a książka jego wyborna, jeżeli jednak niektórym się nie podoba, to najpewniej dlatego, że Batault jest autorem innej jeszcze dobrej książki, poświęconej wybranemu narodowi (*„Le problème juif"*), a wiadomo, że to odrazu obniża o 100 procent wartość najlepszego pisarza.

wdzięczny mu jestem za to, że zawsze zabierał głos w obronie Polski, i potępiał jej katów; następnie, serdecznie go wspominam, jako chciwy, za lat młodzieńczych, czytelnik wielu jego utworów, zwłaszcza powieści, któremi przejmowało się moje pokolenie („Nędznicy", „Rok 1793" i t. p.), nie zdając sobie należycie sprawy, co w nich było prawdą, a co fałszem, nie mniej unosząc się razem z ich autorem w krainę ułudy.

Wszakże, jako miłośnik literatury francuskiej, nieźle orjentujący się — niech mi wolno będzie powiedzieć o sobie—w jej istotnem, ogromnem bogactwie i rozmaitych wartościach, — muszę przyznać słuszność tym, którzy W. Hugo odmawiają tytułu największego poety Francji XIX-go wieku, gdyż sądzę, jak oni, iż jest to z oczywistą krzywdą innych wielkich jej poetów, równych mu genjuszem, a nieraz przewyższających go gatunkiem genjalności, a także i z tego powodu, że tę swoją najwyższą rangę wśród nich zawdzięcza przedewszystkiem względom politycznym.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NORWIDJANA I

GARŚĆ LISTÓW C. NORWIDA

Podał STANISŁAW PIGOŃ (Ciąg dalszy)

13. DO J. I. KRASZEWSKIEGO

28 oktobra 1876

P. Norwid jest chory, — adres jego jeszcze parę tygodni jest: Paris, rue de Chaillot 49.

Uprzedza W-go Kraszewskiego, iż niezwłocznie przesyła doń spory list bez-opłatny z dewizą grecką jak ta na niniejszym. Żałuje, iż dla nieustatkowania pierwszych warunków prasy polskiej przychodzi mu dużo pisać o małej rzeczy:

1. List zawiera pierwszą całą pieśń *Odyssei* i trzy fragmenta wysokie z innych pieśni. Rękopism wartości od dwóchset pięćdziesiąt do przeszło trzystu franków.

2. Kopji sobie zostawić nie ma czasu, — przesyła więc unikat.

3. Żadnego przemysłowo-literackiego stosunku z liczną prasą polską nie ma i prosi W-go Kraszewskiego, aby bez długiej odwłoki raczył ten manuskrypt sprzedać za dwieście franków — jest to arcymała cena. — Zaś po tłómaczeniach Dmochowskich i Siemieńskich, z których pierwsze jest skaligrafowane, a drugie zgminnione i żadne oryginału greckiego nie widziało... nie będzie złem widzieć fragment autentycznie na oryginale spełniony. — Wieczór był dany ku temu, gdzie to czytane było przy kompetentnych (był tam i Bohdan Zaleski).

Smutno jest p. Norwidowi spomnieć, że J. I. Kraszewski w jednym feuilletonie utrzymuje, jakoby już nie było poetów, starożytne znających literatury. Są, miły Panie, i tacy, którym nietylko grecki i rzymski, ale hebrajski, semickie i algochińskie obcemi nie są.

Miło jest p. Norwidowi wiedzieć, że J. I. Kraszewski w rzeczy o Dancie spomina tłomaczenie jednej pieśni przez Norwida. On ją tłomaczył w więzieniu i przez okno więzienia dał ś. p. hrabiemu Włodzimierzowi Łubieńskiemu, a przeto nie wiedział nawet, gdzie rękopism!

P. Norwid przeprasza bardzo, że zaprząta W-go Kraszewskiego swym interesem, to jest, że Go prosi o rychłe sprzedanie rękopismu za arcymierną cenę. Ale idzie o rychłość, bo cierpiący jest; — życie Jego dowodem, iż podobnych spraw dla innych wiele i częstotliwie umiał dokonywać. Sługa

N.

rue Chaillot, 49.

Uwaga wydawcy: Autograf w Bibl. Jag. — Wspomniany w liście przekład fragmentów *Odyssei* został sprzedany za pośrednictwem Kraszewskiego Lewentalowi, wydawcy *Kłosów*, ale do druku podówczas się nie dostał. Przekład swój czytał Norwid w salonie hr. L. Czapskiej (zob. Krechowiecki, II, 239). Napomnienie o fejletonie Kraszewskiego mogłoby się odnosić jeszcze do korespondencji jego *Ze świata XII*, (*Dziennik Poznański* 1868, nr. 218), gdzie rzeczywiście mowa o zaniedbaniach polskich w dziedzinie poznania literatury klasycznej. W studjum o Dantem (odb. z *Roczników T. P. N.*, Poznań 1869) wymienia Kraszewski Norwida w rzędzie tłumaczów *Boskiej Komedji*, których przekłady są znane, choć nie drukowane. Wspomniany przekład fragmentów *Odyssei* da niebawem asumpt do żwawej wymiany listów.

BRONISŁAW ZALESKI DO C. NORWIDA

Kochany Cyprjanie!

Pisze mi Kraszewski, że Löwenthal, który nabył Twoje tłumaczenie części *Odyssei*, nie przysyła mu reszty pieniędzy za rękopism, bo wszelkie wypłaty niezmiernie ciężko teraz idą w Warszawie z powodu upadku kursu pieniędzy i stagnacji handlowej, — że jednak nie chciałby, żebyś na tem cierpiał, a ponieważ mam z nim rachunek, więc prosi mię, żebym Ci resztę wypłacił, a on ją sobie od Löwenthala powoli odbierze. Nie pamięta tylko, czy rękopism sprzedany za 150 czy za 200 franków. Wie, że Ci posłał 132 fr., należy się zatem albo 18 albo 68. Chciej to wyjaśnić i przysłać po te pieniądze, dając mi kwitek, którybym mógł posłać Kraszewskiemu dla Löwenthala.

Niepogoda i nie ruszam się z domu, jutro tylko, w piątek, będę musiał wyjechać około godz. 2-ej. Ściskam Cię serdecznie

Br. Zaleski

8-go listop. 77 r.
Quai d'Orlèans 6, Paryż.

Uwaga wydawcy: Aut. w Bibl. Jag. w dziale „Autografy". Zapytaniem powyższem uczuł się Norwid znowu przykro dotknięty i za pośrednictwem Br. Zaleskiego odpisał natychmiast Kraszewskiemu, mieszcząc w liście ostrą diatrybę na wydawców wogóle.

14. DO J. I. KRASZEWSKIEGO

[Paryż, d. 9 listopada 1877]

Do rąk własnych: Wielmożny J. I. Kraszewski w Dreźnie (Wielmożny Br. Zaleski w Paryżu).

Jakkolwiek ominąć ciągłą i równą dobroć, — cierpliwość i gotowość zacnego Bronisława Z. jest

i stawa się arcyniepraktyczną rzeczą; ta atoli rzecz jest i stawa się o tyleż słuszną, ile niepraktyczną. W zasadzie przeciwnym będąc polubowności wyjątkowej, oświadczyłem to nawet ustnie Księciu W. C[zartoryskiemu], kiedy (zapewne po ostatni raz) z tymże traktowałem. Społeczność polska za niewiele dni fatalnie się spostrzeże, iż doprowadziła się nadużyciami prywatnych usług do zupełnej zdrady pojęć obowiązkowych. I spostrzeże, że skoro n. p. architekt wykreśli plany gmachu, tedy nie ocenią, że on temu gwoli lat kilkadziesiąt pracował, aby nakreślić linje umiał, ale przyjdą do niego, aby materjały zgromadził budowlane, i które skoro zgromadziłby, tedy przyjdą, aby zmurował gmach, a skoro zmurowałby, aby został odźwiernym, a gdy zostałby odźwiernym, aby czyścił obuwie i wodę nosił.

Inicjatywa i ocena, będąc najdostojniejszemi zachodami umysłu społeczeństw żywych, lub żyć mających, nie otrzymuje się przez uprywatnianie praktyczno-osobiste wszelkiej sprawy, lecz vice versa, to jest: przez od-publiczniania obowiązkowe praktycznych prywat. Wielkich tych rzeczy, to jest Inicjatywy i Oceny nie naucza się literaturką, ani przez modus vivendi, lecz przez pragmatyczną obywatelskość. Inicjatywa i Ocena są kaznodziejstwem żywem dla społeczeństw, a kaznodziejstwo tem się od literackości różni, że prywatności polubowne zezuwa i bose jest i tylko o tyle o ile bose, o tyle do iścia zgotowane. Społeczności, które się na tem zapóźno spostrzegają, są zdradzone; — historja i rozwój następstw wykrywają, co i przez czyje zdradziło ręce.

Księgarza takiego w Polsce niema, któryby nam dawać mógł objaśnienia o stanie interesów wydawnictwa, z tej przyczyny prostej, że to jest kilku nieuczonych i nieumiejętnych przemysłowców i zwykłych wyzyskiwaczy. Handlują książką tak jak byliby handlowali końmi lub wódką. Ils sont parfaitement illetrées. Pisarze przedają im ich upoważnienia i uznania publiczne, za co oni im odprzedają czas społeczny, a skoro ten drobny handel dobrze idzie, wykluczają powoli tendencyjność (o której nie wiedzą, że jest natury wiecznej), unieobecniają moralistów społecznych i doprowadzają literaturę do perjodycznych zużyć i wyczerpnień, nim owocowała. Skoro to z wiedzą pełnią, są nie mężni i źli obywatele. Skoro to z dążnością czynią, są zatraciciele i zbójcy ducha. Dziecku można powiedzieć, iż stan polityczno-socjalny narodu jakiego w Europie nie dozwala rozwoju księgarskiego; — my wierzymy, iż tem większym jest interes umysłowy, im trudniejszem polityczno-socjalne narodu położenie. (Tryumfalna moc Niemiec zatrzymała na dobę całą ruch umysłowy niemiecki). Źli księgarze i licha literackość upadają i zatrzymują się w czasach politycznie trudnych, dobrzy i dobre — przeciwnie.

Nie księgarza zaś, ale wogóle obywatela takiego w Polsce tuszymy, iż nie może być, któryby nam główne objaśnienia dawał o stanie narodu, albowiem my nie gwoli naszej osobistej przyjemności na wygnaniu jesteśmy (k'czemu drugostronny mój Głos w kopji).

1877, listopada Cyprjan Norwid

P. S. Interes:

1. Księgarz L.[öwenthal] musi mieć księgi handlowej firmy (kwitu żąda), a przeto lepiej odemnie w księgach zobaczyć może, za ile co kupuje!

2. Dziękuję za uwzględnienia, że dla braku kilkudziesięciu franków w przeciągu roku — nie chcą, abym cierpiał.

3. Z mej strony wiem tylko, iż winni mi są mniej o 60 centimów (o 12 sous), bo dwa listy niefrankowane posyłałem, — tyle powinienem wiedzieć i wiem.

C. Norwid

Uwaga wydawcy: Autograf w tymże zbiorze Bibl. Jag.

15. ODPOWIEDŹ

Cyprjana Kamila N. niektórym obywatelom, o stanie rzeczy narodowej zapytującym.

Nie powiem Szanownym Panom jak zbawić Polskę, dla której nikt nic pierwej nie zrobi, aż się Polska uzdolni do korzystania z okoliczności. I jeśli cokolwiek kto zrobiłby pierwej, wyszłoby na złe. Przypomnę, że jeśliby jaki w Europie naród przez lat sto wszystko robił zapóźno lub zawcześnie, uzależniłby się fatalnie od przestrzeni, bo nie miałby czasu. Polski nie rozebrały tylko trzy mocarstwa, ale i epoka, ale i czas! Powiem więc Panom, co zrobić dziś.

Wielkie i bliskie rzeczy dzieją się, — nie mamy ambasadorów i floty, — mamy opinję. Trzeba walnym manifestem ogłosić opinję narodową w sprawach zagajonych, aby przeto uprzedzone były rokowania i rozwiązane ręce pojedyńczym zachodom i stanęła kontrola. Bez kontroli i steru opinji można być podchwyconym jaką Targowicą — rzezi — galicyjskiej...

Jeśli Sułtan sam wolnie rokuje o formacji legjonu polskiego, to niech to nie będzie działalnością główną i naczelną, ale naszemi sprawami zagranicznemi, uległemi kontroli. W takiej mierze niech legjon odpowiada za donioslość i zacność postawienia chorągwi narodowej jako niezależnego legjonu chrześcijańskiego i niech wysunie taką moralną wagę, aby nawet w razie wewnętrznej jakiej rzezi chrześcijan (która przy niefortunie oręża tureckiego zdarzyć się może) umiał i mógł jako Abdel-Kader w Damaszku sobie poczynać; — ta powinna być Legjonu powaga i dyplomacja.

Manifest powinien być wystosowany jawnie, z uręczeniem jednego posła poznańskiego (z parlamentu niemieckiego), jednego z parlamentu Austrji, jednego członka Towarzystwa Rolniczego warszawskiego, jednego nauczyciela wiejskiego i jednego kmiecia. Ci obywatele, narażając się przeto, mogą za to iść na czasowe wygnanie, jak my za parę słów wolnych czyniliśmy.

To zrobić trzeba na dziś. Co jutro? — wiedzieć będą jutro.

Życzliwy sługa i brat

1877 Cyprjan Kamil Norwid

Uwaga wydawcy: Wspomniana w liście poprzednim Nota mieści się na tym samym co i list arkuszu. Stoi ona w związku z ruchem umysłów, wywołanym toczącą się właśnie podówczas wojną turecko-rosyjską. Trudno ustalić, kto i jak zwracał się o opinję polityczną do Norwida, który zresztą w owym właśnie roku schronił się był na resztę życia do przytułku Św. Kazimierza.

NA WIDOWNI

O cnotach i wadach narodu. — Zmienione oblicze Polski. — Jak wygląda nasza epoka? — Zamiast dojrzewania — dziecinnienie. — Uwagi nauczyciela. — Oklaski żydów. — Potrzebne są procesy psychiczne. — Rola świadomości.

Z POWODU książki ś. p. Antoniego Górskiego „Cnoty i wady narodu szlacheckiego” rozwinęła się w „Kur. Warsz.” dyskusja, w której zabierali głos St. Szpotański i prof. R. Rybarski. Ostatni z nich słusznie zaznacza, że „nie można właściwości duchowych niektórych epok podnosić do rzędu stałych właściwości”. Bo istotnie, mamy na to doskonały argument w spostrzeżeniach własnych z lat ostatnich.

W naszych oczach odbywa się zmiana epoki i to nie byle jaka: z długoletniego ugorowania bezpaństwowego przeszliśmy na uprawę państwową. Ci, co pamiętają dawne czasy, nie mogą rozpoznać ludzi dzisiejszych. Ale właśnie na tym żywym przykładzie zorjentować się możemy w zakresie zagadnień, dotyczących charakteru narodowego.

Spostrzec mogliśmy przedewszystkiem, że owe cnoty i wady są w znacznej mierze produktem wychowania. Oczywiście, materjał duchowy, podlegający wpływowom wychowania, może być mniej lub więcej podatny, ale widzimy, że oblicze rzeźbione w tym materjale zmieniło nam się w oczach. Jednak nie we wszystkich warstwach. Zmieniło się u ludzi, uzależnionych od państwa. Państwo rozporządza wielkiemi środkami wychowawczemi.

Ponieważ ta warstwa uzależniona obejmuje niemal dwie trzecie naszej „inteligencji”, która obecnie daje oblicze naszemu społeczeństwu tak, jak dawniej szlachta, więc nic łatwiejszego, jak te cnoty i wady uogólnić na cały naród.

Zapewne, nie będzie to ścisłe, poza inteligencją bowiem pozostaje cała masa ludności. Nie będzie to ścisłe etnologicznie, ale czy o to chodzi w tego rodzaju badaniach? Pytamy się o swój charakter narodowy nie z pobudek naukowych, lecz ze względów praktycznych, dziejotwórczych, chodzi nam o te warstwy, które m o g ą brać czynny udział w życiu cywilizacji. Kładę nacisk na wyraz m o g ą, a mogą brać udział kierowniczy i wykonawczy w twórczości cywilizacyjnej ci, których na to stać psychicznie, i którzy jednocześnie mają możność faktyczną ze względu na ustrój, prawo, warunki materjalne.

Zawsze było to samo, że oblicze dziejowe nadawali narodowi ludzie na swój czas wyniesieni oświeceniem ponad masy. W dawnej Polsce niepodległej ludzie ci rekrutowali się z pośród szlachty, nazywaliśmy tedy naród „szlacheckim”, ich wady i cnoty szlacheckie historja notowała; dzisiaj tych ludzi szukać trzeba wszędy. Ma rację K. S. Frycz (ob. nr. 22 „Myśli Narodowej”), że najwyższy gatunek w nowożytnej sferze ludzi oświeconych upatruje w grupie *gentry*, ziemiańsko-miejskiej kompozycji dziejów. Ten typ istotnie mógłby solą być ziemi naszej, dodatnim fermentem naszego życia, ze względu na rozległość horyzontu umysłowego, ale — co ważniejsza — na wrodzony psychice idealizm, zdolność kierowania się imperatywem idei. Ludzi tego typu, mogących stanowić ośrodek tej mgławicy, którą nazywamy inteligencją, nietylko w miastach trzeba szukać, znajdzie się ich wszędzie po wsiach i osadach i to we wszystkich warstwach. Mamy przecież chłopów i mieszczan z duszami senatorów dawnych, którym przypadałby tytuł *pater patriae*. Ten typ nadaje właściwe oblicze narodowi. Tego typu nie głuszyć, ten typ wydobyć na widownię — oto zadanie budownictwa ustrojowego. Tu by się znalazła jeśli nie synteza charakteru narodowego, to w każdym razie miara cnót obywatelskich.

Myśmy na tych ludzi oglądali się w XIX wieku, naród bowiem żył w niewoli konkursem dobrowolności i świadomości dziejotwórczej. Obecnie ta hierarchiczność elitarna duchowości narodowej zastąpiona została zaciągiem służbowym, dokonywanym wedle zasad różnych. Charakter obliczu społecznemu nadaje biurokracja. Dlatego w tej nowej epoce, jak powiedziałem, ci, co pamiętają dawne czasy, nie mogą rozpoznać ludzi dzisiejszych. Zgubił się dawny wskźanik cnót, wady przybrały nową poniekąd postać, a ci, coby chcieli narodowi wróżyć z wyrazu jego oblicza, popełnialiby ciężkie błędy,

Charakter narodowy uwydatnia swe rysy w wolnych przejawach twórczości, normowanych zasadami, przyjętemi przez ludzi za ich kierownictwo wewnętrzne. Przy normalizacji zewnętrznej te rysy się zacierają. Któżby np. rozpoznał w dzisiejszej prasie konserwatywnej rysy dawne ziemiańskie i szlacheckie? Patrząc na większość, decydującą w izbach ustawodawczych, nie znajdziemy klucza do odcyfrowania dusz indywidualnych, zupełnie zatartych.

Zupełnie inaczej wygląda postawa psychiczna i moralna człowieka, wziętego na próbę wymagań, jakie mu stawia sprawa, do której jest powołany, niż człowieka działającego na pokaz ze względu na taktykę personalną. Oblicze cnót i wad mogą mieć indywidualności. Indywidualność zaś jest to podstawowa komórka życia psychicznego narodu; powiedzieć można: jest to pierwszy przed innemi samorząd. Narody poznaje się po samorządności.

Człowiek dzisiejszy, wysuwany jako model poprawności politycznej, jest zaprzeczeniem samorządności indywidualnej. Co innego autonomiczność, co innego automatyczność. To nie człowiek, nie *civis*, lecz nakręcana zabawka blaszana, głośno brzęcząca. Setnie się bawią ci, którym wystarcza nakręcanie, aż do pękania sprężyn — i ten ruch niesamowity, naśladujący życie. Zabawa. Więc ten, ktoby chciał wytworzyć sobie sąd o charakterze Polaków według obrazu, jaki daje obecnie sfera oświecona, podkreślićby musiał jako główny ich rys — zdziecinnienie. Jedni drugich nakręcają, sami się bawią, innym służą do zabawy, i wszystko odbywa się „na niby”, jak w pokoju dziecinnym.

Nakręcają się strachem i entuzjazmem aż do psychozy, o którą tak łatwo w okresie infantylnym. Ponieważ to jednak nie dzieci, więc pod tą zabawą wiele się kryje dramatu. Bo rzeczywistość, od ludzi opuszczona, załamuje ręce, jakby powiedział poeta romantyczny.

O tem, że to nie jest stan normalny, przestrzega historyków, szukających syntezy, nawet prasa sanacyjna. Mam pod ręką bieżący (z 30.V) numer „Kurjera Porannego”, dziennika ultra-sanacyjnego, który stale był zachwycony reformami, nakręcającemi szkoły na nowy tryb wychowania. Czytam w nim wypowiedziane przez nauczyciela

z niezmierną ostrożnością i pokorą uwagi o utrwalonym już w szkolnictwie „stanie rzeczy”:

„Truizmem jest dziś niewątpliwie prawie powszechne przekonanie, że „dryl”, stosowany przez niektórych przedstawicieli władz szkolnych, a zwłaszcza niektórych inspektorów szkolnych, zaś w poszczególnym wypadku i wyższą osobistość z pośród władz szkolnych, szczególnie na dłuższą metę, jest niewątpliwie szkodliwy, pustoszący psychikę nauczyciela.

Metoda, licząca na skutki działania strachem, zawodzi zawsze na całej linji, gdyż w pewnej, tylko niewielkiej ilości wypadków osiąga doraźne a fałszywe i złudne skutki. Człowiek poddany działaniu strachu zakłada natychmiast maskę ochroną, przyjmuje postawę zgodną z prawem mimikry. Ci natomiast, którzy mają trochę odwagi cywilnej, śmieją się z „rzucającej się” władzy, lub kpią w oczy. Ludzie słabsi kpią za plecami, opowiadają kawały innym.

A teraz jak i co ma myśleć nauczyciel o swej bezpośredniej władzy, gdy np. jeden z inspektorów, telefonując do szkoły powiada do nauczyciela: „niech pan tam pobiegnie do woźnego” i t. d., gdy, jak to zdarza się na Polesiu, inspektor postawił nauczyciela podczas wizytacji w kącie, gdy wyraża swe niezadowolenie, że nauczyciel czy kierownik nie staje na baczność na jego powitanie — i nie melduje mu po wojskowemu, że w szkole pracuje tylu i tylu nauczycieli, i tylu uczniów, gdy nie poprosi nauczyciela, by usiadł, gdy nie podaje mu ręki.

Zresztą skończmy z przykładami, świadczącemi o wypadkach, mnożących się ostatnio jak grzyby po deszczu, o wypadkach, świadczących, że rodzący się a szkodliwy prąd trzeba zatrzymać”.

Istotnie trudno się będzie połapać w charakterach, które przejdą — jak powiada po galicyjsku autor powyższych słów — taki „dril”. Nastręcza się przytem refleksja, że taka szkoła wychowania obywatelskiego niszczy przedewszystkiem polski materjał wśród ludności. Gdyby ludność Polski była etnicznie jednolita, powiedziałoby się: w tej epoce poziom kultury się obniżył, przyjdzie czas, że się podniesie; takie wahania bywały już w dziejach. Tymczasem Polacy na teren pracy publicznej rzucili obecnie wszystkie niemal zapasy inteligencji i one głównie podlegają temu „drilowi”, oddają bowiem na usługi całkowicie swoją duszę pełną lojalności i zaufania.

Podczas gdy ten materjał ulega zniszczeniu, inne grupy etniczne, jak żydzi, uchodzą cało; one nie dają do siebie dostępu żadnym *regime*'om, nikt ich nie nakręca i, swobodnie rozwijając swoje właściwości, tem więcej zyskują na sile stosunkowej, im więcej żywioł polski traci cnót samorządności. Nietylko poziom się obniża, lecz życie Polski traci równowagę. Widzimy przecież z prasy żydowskiej, jak doskonałą stanowią żydzi publiczność dla sceny, na której my Polacy jesteśmy aktorami: oklaskom niema końca i miary, a w nich podniet. Dobrze się bawią.

Żydzi nie zmieniają swego oblicza z epoki na epokę lub według stopnia geograficznego. „Cnoty i wady” narodu żydowskiego od wielu wieków są znane i historja nie ma już z nimi kłopotu. Z nami historja ma duży kłopot, bo też i my mamy kłopot z historją. Jesteśmy wciąż ż y w i o-łem, który się mieni na powierzchni, jak drobna fala, grająca światłem i cieniami, a brzegami zarasta szuwarem, niezdrową pleśnią się plami.

Kwestja cnót i wad, kwestja charakteru narodowego wogóle nietylko dla nauki ma wagę; zbadanie jej jest koniecznością wychowawczą dla narodu, który chce dobrze rozegrać swoją partję dziejową. Przypomnę znakomite aforyzmy na ten temat Maurycego Mochnackiego:

„Znać siebie i mieć uznanie samego siebie w jestestwie swojem, mieć wewnętrzne ujęcie i grunt pod sobą, — owoż niezaprzeczone, niezatracone prawo w rodzie ludzkim i najdostojniejszy przymiot człowieka!”

My właściwie musimy się pytać obcych, jak my wyglądamy, sami bowiem o sobie jeszcze niewiele powiedzieć możemy. Przyczyniłoby się to bardzo do „stabilizacji” charakteru narodowego, gdybyśmy posiadali jego świadomość (samowiedzę), jak mówi Mochnacki, — „wewnętrzne ujęcie” swego jestestwa. A dalej: „Kto nie może być przedmiotem dla samego siebie i w tem się bezprzestannie uznawać, — ten nie jest”... „Kto tego, że jest, nie wie, — jest tak, jakby go nie było. Jest, ale dla kogo innego, — nie dla siebie”.

Są to bardzo ważkie słowa, mowa bowiem o narodzie tworzącym z siebie (ze swego żywiołu) osobowość dziejową. Tych elementarnych czynności psychicznych, zmierzających do utrwalenia charakteru narodowego, niesposób zetatyzować. Tu potrzebna samorządność wewnętrzna, poczynająca się od świadomości: że się jest i czem się jest. Bez tego jest się czemś „dla kogo, nie dla siebie”.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

UCHWALONY przed kilku dniami przez klub BB projekt ordynacji wyborczej jest napozór konsekwencją i wprowadzeniem w życie konstytucji 23 kwietnia, w rzeczywistości wyrósł obok niej i stanowi akt zupełnie osobny, poczęty w okresie może wcześniejszym, aniżeli ten, który zrodził konieczność zredagowania ustawy konstytucyjnej. Wspólna jest im tylko tendencja, mająca na celu utrwalenie rządów warstwy politycznej, wytworzonej w przeciągu ostatnich lat dziewięciu.

Już z wielkim nakładem pracy i przemyślności przeprowadzone wybory samorządowe świadczyły, iż rola ich będzie daleko większa, aniżeli sądzili ci, którzy, przyzwyczajeni do starych zwyczajów parlamentarnych, myśleli, że to tylko takie balony próbne, latające, puszczane... pod wiatr. I ordynacja wyborcza rzeczywiście ma sformułowanie, które kładzie nacisk na wagę życia samorządowego. Paradoks sytuacji jednak polega na tem, że życie to zupełnie nie istnieje, zetatyzowane ostatnio niemal całkowicie i osobą starosty oraz wojewody scentralizowane do cna, uzależnione w najdrobniejszych nawet szczegółach od wskazówek, instrukcyj oraz dyrektyw rządu.

Cały więc wysiłek i spryt ustawodawczy przewódców klubu BB poszedł w kierunku budowania pozorów. Jest to zresztą metoda, uświęcona kilkuletnią tradycją, nosząca wszelkie cechy zabiegów psychicznych, mających na celu wzmacnianie ducha sfer, kierujących losami Państwa.

Zabiegi te wydają się nam nietylko zrozumiałe, ale co więcej — nawet konieczne, dziwny to jednak przejaw entuzjazmu, który nie wznosi głowy do góry, ale ją sposobem strusia chowa w piasek, wmawiając w siebie i w innych, że się nic naokół nie dzieje, bo się tego nie widzi, nie usiłuje widzieć.

System budowania pozorów jest istotnie ciekawą metodą i stanowi nowe pole doświadczenia dla badacza „techniki społecznej”, czy jednak, tak z ręką na sercu, możemy go nazwać „pracą państwowotwórczą”?

BIROBIDŻAN CZY PALESTYNA?

PRZED kilkoma miesiącami głośno było w prasie żydowskiej i pokrewnej o planach kolonizacji przez żydów Birobidżanu, który jakoby Sowiety miały przeznaczyć na ten cel. Mało sobie zdawano sprawę z tego, gdzie się właściwie Birobidżan znajduje, ze strony jednak żydowskiej poważnie wzięto tę ofertę, bo rozgorzały znów spory między zwolennikami osadnictwa w Palestynie, a terytorjalistami, pragnącymi gdziekolwiek, gdzieby tylko to narodowi żydowskiemu dogadzało, stworzyć terytorjum o zwartej ludności żydowskiej, posiadającej większość nietylko w skupieniach miejskich, lecz przedewszystkiem na wsi, na roli. Spory dawne, bo sięgające jeszcze 80-tych lat zeszłego stulecia, czasów z przed powstania syjonizmu, gdy żydostwo, dochodzące wtedy do szczytu potęgi, zrozumiało niebezpieczeństwo grożące mu, wskutek oderwania się od roli, stania się wiecznym tułaczem, warstwą pośredników-pasorzytów, nie związanych niczem z ziemią, ich żywicielką, mimo iż od wieków ją obsiedli. Dla przystosowania więc do nowych, nadchodzących warunków istnienia powstaje ruch, dążący do reformy ustroju społecznego, do przewarstwowienia socjalnego, jak to sami żydzi nazwali, a wyrażający się w pierwszych naówczas próbach kolonizacyjnych chaluców w Palestynie i Argentynie. Wśród wyznawców tego ruchu odrazu nastąpił rozłam taktyczny na wspomnianych wyżej terytorjalistów i zwolenników narodowej siedziby w Palestynie. Spór ten, w którym zrazu zwycięstwo przechylało się to na jedną, to na drugą stronę, dziś zdaje się być rozstrzygnięty na korzyść Palestyny. Podłożem jego jest ścieranie się w psychice żydowskiej skłonności do marzycielstwa i *sui generis* romantyzmu z twardem wyrachowaniem, zimno, choć z fanatyzmem, wymierzającem szanse interesu.

Refleksja ta nasunęła mi się po wysłuchaniu odczytu jednego z działaczy żydowskich adw. Czernichowa na temat emigracji i kolonizacji żydowskiej. Palestyna—przecież to marzenie, które nigdy albo, w każdym razie, w bardzo dalekiej przyszłości, kosztem niewspółmiernych wysiłków, będzie spełnione. Biło to jasno z wywodów prelegenta, który z melancholją mówił, że koszt osadzenia jednej rodziny żydowskiej w Palestynie na kawałkn ziemi, nie przenoszącym 1 ha, wynosi 1200 funt. szt. (*ca* 30000 zł), że Palestyna ma dosyć własnej ludności i w krótkim czasie jej zdolność chłonięcia obcego elementu zmniejszy się bardzo lub nawet zniknie. I jeżeli dziś tysiące chaluców wyjeżdża do Palestyny, czynią to dlatego, iż powoduje nimi idea powrotu na ziemię, odrodzenia narodowego żydostwa, a z drugiej strony coraz bardziej niepewne warunki bytowania wśród narodów, którym do niedawna z powodzeniem zabraniało się wyznawania idej narodowych. Inne kraje się zamykają, Stany Zjednoczone, gdzie żydostwo myślało nawet o utworzeniu stanu żydowskiego, jaknajbardziej niechętnie odnoszą się do projektów emigracyjnych. Nic dziwnego więc, że, gdy pojawiła się możliwość kolonizacji Birobidżanu, na nowo odżyły nadzieje terytorjalistów. Tu jednak decydować mógł tylko chłodny rozsądek i kalkulacja. I oto obliczono, że kolonizacja Birobidżanu (jakkolwiek koszta jej są o wiele mniejsze od palestyńskich), nie opłaciłaby się, ponieważ mimo dużych bogactw naturalnych, trzebaby było włożyć tam wiele pracy przygotowawczej, jak osuszenie błot, regulacja rzek i t. p. Brakło zaś poparcia idei, któraby mogła fale emigracyjne w tamtą stronę pokierować. Wprawdzie p. Czernichow z zachwytem mówił o Rosji Sowieckiej, jako o tej, która „pierwsza podjęła rozsądną i szlachetną próbę rozwiązania kwestji żydowskiej", nie przeszkadzało mu to jednak równocześnie zakonkludować, iż emigracja większych mas żydostwa do Birobidżanu jest niemożliwa, ponieważ Rosja pragnie wciągnąć w obręb pracy produkcyjnej tylko swoją mniejszość żydowską, co—jak sądzimy—wobec wielkich wpływów żydostwa na rządy sowieckie, jest raczej szukaniem wymówki, niż poważną chęcią wytłumaczenia.

O wiele natomiast jaśniej wyglądały aluzje do możliwości utworzenia terytorjum żydowskiego, poza Jordanem i Amurem, także „nad trzecią jeszcze rzeką, której n a r a z i e wymienić nie może, choć blizką jest ona wszystkim obecnym". Wydaje się, iż nad tą trzecią rzeką „prace przygotowawcze" posunięte są już tak daleko, że kolonizacja niedługo będzie możliwa i opłacalna... Jest więc inne wyjście obok Palestyny i Birobidżanu. Tu w pełni zdaje się zwyciężać wyrachowanie i zdolności kalkulacyjne, ale i świadomy plan. Wyrazem tego jest uznawanie każdego z wyżej wymienionych terytorjów za bazę, na której mogłoby się oprzeć i rozwijać żydostwo w diasporze, — bazę, do której przelewać by można było wszystko, co się nie zmieści gdzieindziej, ale bynajmniej nie całe rozproszone żydostwo. Lecz — znowuż pesymistycznie dodał prelegent — tej masy nie mieszczącej się gdzieindziej jest coraz więcej. Załamanie się gospodastwa wielkokapitalistycznego prowadzi do wyzwolenia ruchów narodowych, zawsze i wszędzie żydostwu nieprzyjaznych. Żydzi więc widzą ratunek tylko we wniesieniu swej sprawy na *forum* międzynarodowe, Ligi Narodów, któraby w „atmosferze przyjaźni" zajęła się rozwiązaniem kwestji żydowskiej i wyszukaniem nowej „bazy" dla diaspory.

Odczyt, urządzony przez Instytut Narodowościowy, odbył się w sali kamienicy Ks. Ks. Mazowieckich na Starem Mieście. Przykrość, jaką sprawiało słuchanie w tem miejscu niemiłosiernie kaleczonego języka polskiego, z ust Żyda i w otoczeniu prawie 100% żydowskiem, w części tylko naprawić mogła szczerość, z jaką p. Czernichow przyznał się do nietwórczej roli żydostwa w świecie i do szerokich jego planów obecnych.

F.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Głód dobrej powieści polskiej zaspokoi K a z i m i e r z a W y b r a n o w s k i e g o „Dziedzictwo", którego drugie wydanie ukazało się w tych dniach nakładem księgarni św. Wojciecha (stron 400, cena 4 zł.). Schludna szata książki godnie odpowiada założeniu nowej serji powieści, wydawanych przez księgarnię św. Wojciecha pod hasłem „Książka, która zainteresuje każdego".

„Dziedzictwo" w ciągu kilku lat dokonało niezwykłego podboju czytelników. Naasamprzód powieść ta ukazywała się w odcinku „Gazety Warszawskiej", potem w wydaniu książ-

kowem, zaś w ub. roku z wielkim sukcesem drukował ją (wraz z ilustracjami) znowu w odcinku „Orędownik” i „Słowo Pomorskie”. Obecne drugie wydanie książkowe „Dziedzictwa” jest więc faktycznie piątem wydaniem tej interesującej powieści.

Powieść oświetla skomplikowane machinacje żydów i masonerji, nazwanej przez autora „Związkiem uczynnych grabarzy”... którzy dezorganizują życie polskiego, chrześcijańskiego społeczeństwa. Autor, który już ma w dorobku powieść „W połowie drogi”, przedstawia w „Dziedzictwie” swój ideał człowieka.

Porywająca akcja powieści, talent narracyjny i głębia myśli—oto główne zalety tej istotnie niezwykłej książeczki.

Nawet ci, co już czytali raz „Dziedzictwo” z przyjemnością skorzystają z okazji drugiego, taniego, wydania powieści, by odświeżyć sobie znajomość z tem wartościowem dziełem.

„Dziedzictwo” zalicza się do tych książek, które trzeba mieć stale pod ręką dla nauki i przyjemności.

(S. N.)

Jakże często słowa potępienia rzucane są przez niegodnych sędziów—tem bezwzględniejsze zazwyczaj i sroższe. Jak mało wnikamy w tajniki duszy grzeszników, tembardziej jawnogrzesznic. To jest zresztą zgodne z prawem publiczności wyroków, ferowanych wobec zranionego poczucia moralnego.

Niemniej utylitarny dydaktyzm niezawsze chodzi w parze ze sprawiedliwością. Tymczasem wyrozumiała litość i współczujące miłosierdzie, bardziej dostępne prostaczkom, kazały np. ludowi rosyjskiemu nawet w kobiecie upadłej dopatrzyć się świętej (przypomnijmy Sonię z „Winy i kary”).

Nie posuwając pobłażliwej chwiejności aż do jakiegoś relatywizmu moralnego, trzeba jednakże przyjąć z dobrą wiarą przeraźliwie jasne wyznanie bohaterki powieści Mauriac'a: „Wszystkie moje czyny mają oblicze niewinne, zwrócone ku mnie samej, oraz oblicze szkaradne, zwrócone ku ludziom. Lecz może to właśnie ludzie widzą jasno...” (Fr. Mauriac—„Pustynia miłości”).

Poczucie tego rozdwojenia ma swe źródło w suggetywnej sile złudzeń, narzuconej nam, takiej a nie innej relacji naszego ja.

W analizowanym tutaj, nowym rozdziale mauriac'owskiej kroniki duszy, historja miłości dwóch pokoleń (syna i ojca) do „złej kobiety”, Marji Cross, potwierdza to ciekawe spostrzeżenie z dziedziny „duszoznawstwa” (ryzykujemy nowotwór).

Siedmnastoletni Rajmund, w szkole i w domu powszechnie uważany za „zgniliznę moralną” (w pokracznem—do tego—ciele), z pewnem otępieniem, właściwem okresowi mutacyjnemu, wchodził w tę, niezbyt rozciągłą, narzuconą mu formę.

Wystarczyło jednego spojrzenia kochającej kobiety, aby uświadomić chłopcu jego rzeczywistą urodę i powab fizyczny, ukazać wszystkie możliwości rozwojowe, stojące przed nim, narówni z jego rówieśnikami, otworem.

Pójdźmy dalej!—złudzenie, choć inaczej, może sięgnąć głębiej, zdezorjentować nas na obszarze odwiecznej gry miłosnej. I tak się stało z Marją Cross: perypetje, przeżywane z Rajmundem nie miały—w najgłębszych drgnieniach instynktu—na celu jego osoby, podobnie jak poprzednie, choć uwieńczone powodzeniem, specjalnie tych a nie innych mężczyzn („...te istoty, które sądzimy, że kochamy... te miłości z żałosnym finałem...”). Błądząca jeszcze wówczas omackiem heroina, (znacznie później dopiero pod wpływem swego pasierba, kombatanta, jednego z coraz liczniejszych w starej Europie „młodych“, przejrzała i być może ...zasiała—przykład jest zaraźliwy — dobre ziarnko w duszy Rajmunda), przecież zdaje sobie sprawę ze swych dotychczas bezowocnych poszukiwań w pogoni za miłością doskonałą i absolutną, której nie znalazła w przelotnych miłostkach: „...we mnie rozkosz i wstręt mieszają się, jak błyskawica i piorun uderzają we mnie jednocześnie. Niema przerwy pomiędzy uciechą a obrzydzeniem”.

Trzebaż dziesięć razy po dziesięć zaznać wśród rozkoszy tej piekielnej nudy, aby „objawił się wreszcie Ten, kto—bez ludzkiej wiedzy—budzi w samej głębi jaźni ten gorący przypływ”.

Wtedy i tragedja niszczejącego ciała w gasnącym blasku późnej młodości przestanie być dla współczesnego poganina tragedją.

Przekłady Mauriac'a—z wyjątkiem może „Kłębowiska żmij” (J. E. Skiwski) — nie stoją na wysokości oryginału. Tym razem (Pol. Tow. Przyjaciół Książki) popełnił go p. Gabryel Karski zresztą na wystarczającym poziomie. Wyjątkowo „trafił się” wulgaryzm: „litosierni czarni”,

(E. S.)

MUZYKA

TEATR WIELKI — „Dybuk”, opera w 3-ch aktach z prologiem. Muzyka Lodovico Rocco, libretto według opowieści An-skiego.

Wystawienie „Dybuka” na scenie Opery warszawskiej nie wzbudzałoby żadnych zastrzeżeń, gdyby podyktowane było dbałością o linję repertuarową czułą na przejaw każdej ukazującej się nowości—w wypadku, jednak, gdy repertuar ten dobierany jest tak tandetnie, z epok najgorszego stylu operowego, premjera legendy żydowskiej o pokutującej duszy w powłoce cielesnej ukochanej przez nią osoby, nabiera specyficznego posmaku, tak że miano skandalu należy tu chyba do względnie łagodnych. Cel bowiem spektaklu jest jasny, niedwuznaczny. Trudno przecież uwierzyć, że to nadzwyczajne walory muzyczne zwróciły uwagę dyrekcji Opery na sztukę, którą inne teatry, poza jedynym medjolańskim, zlekceważyły, jak dotąd, całkiem wyraźnie. Bo mówiąc prawdę — niema i na co zwracać uwagi. Najciekawszą jest tu, bez dyskusji, treść literacka przez swą obcość cywilizacyjną, zupełną egzotykę, chociaż akcja jej rozgrywa się nie gdzieindziej, ale u nas w Polsce, w okresie, gdy to żydzi zamknięci byli w *ghetto*, żyjąc wyłącznie w swojem własnem środowisku.

Piszę zupełnie rozmyślnie: „...Z okresu“ i t. d., dzisiaj bowiem, kiedy się otwiera naoścież bramy reprezentacyjnej Opery dla północnej dzielnicy Warszawy (używamy już chyba najłagodniejszego określenia) tamte czasy należą do przeszłości i—przyszłości. W żadnym jednak wypadku do dnia dzisiejszego.

Treść sztuki, odtwarzana przez siły żydowskie i wygłaszana w języku hebrajskim albo w żargonie, czyniłaby zapowne duże wrażenie. Teatr żydowski o ile nie usiłuje z przykrym snobizmem, wyrosłym wskutek niezwykle rozwiniętego kompleksu niższości, naśladować teatru, będącego wytworem kultury europejskiej, przedstawia wyraz niezwykle ciekawy, czego zdają się, niestety nie dostrzegać właśnie żydzi. I nic nawet dziwnego, że Lodovico Rocco właśnie zwrócił nań uwagę, biorąc stamtąd temat dla swojej sztuki.

Nie zdawał sobie jednak zupełnie sprawy, że jakikolwiek czynnik obcy temu środowisku, które zrodziło legendę o Dybuku, paczy charakter widowiska, obniżając tem samem jego wartość. A cóż dopiero — jeśli czynnik ten nie stoi na odpowiednim poziomie? Muzyka Rocca nie schwyciła wyrazu żydowskiego. Oparta naogół na poprawnej harmonji, egzotyzm podkreśla wprowadzanemi od czasu do czasu dyssonansami.

Nie jest to jednak wystarczający środek ekspresji. Może w warunkach, gdzie o życiu *ghetto* słucha się jak bajki o żelaznym wilku, czyni to wrażenie prawdy—my wyczuwamy w tem jakiś fałsz. Nie ratuje go inscenizacja, tak staranna, jakiej Opera warszawska dawno już nie pamięta. Pomysłowość wynalezionego niewiadomo skąd malarza, jakiegoś Weintrauba jest większa, aniżeli talent, którym rozporządza.

Chóry synagogi, pod przewodem kantora, śpiewają również bardzo ciekawie. Z tem wszystkiem czujemy tu przecież jakąś tandetę... To nic zresztą, bo im jest coś bardziej żydowskie — tem jest tandetniejsze. Nieodłączny to bowiem składnik narodu, żyjącego w małej, skarlałej skali diaspory, tak jak np. moc, siła nieodłączną była postawie rzymianina.

Aktorzy grają nierówno. Rozumiemy to dobrze i—współczujemy. Na szczególną uwagę zasługuje taniec śmierci wykonany w akcie drugim—taniec natomiast kałek i żebraków niewyzyskany. Kłóciły się w nim dwie wyraźne tendencje, które wypaczyły jednolitą linję inscenizacyjną — jedna zmierzająca do mistycznego ujęcia widowiska, druga nawskroś naturalistyczna. Kłótnia ta nie podnosiła pozio-

mu, przeciwnie, niefortunne z każdym aktem zwycięstwo naturalizmu aż do pospolitego banału, wywierało stale wrażenie spadku inwencji. Epilog, wyobrażający apoteozę miłości, nie uratował sytuacji.

Jeśli się weźmie pod uwagę, że poprzednią premjerą była „Niema z Portici”, a następną jest „Hrabia Luksemburg”, to ręce składają się, ale, nie do oklasku.

FILHARMONJA. Jeślibyśmy się przyjrzeli rozwojowi sztuki ostatnich lat kilkudziesięciu, doszlibyśmy do ciekawego wniosku, że nie szedł on ani jedną drogą, ani równym krokiem. Tak, zdawałoby się, pokrewne dziedziny, jak architektura i malarstwo, stanowią dzisiaj dwa odrębne wyrazy; podczas gdy pierwsza opiera się na konstrukcji, dążąc do syntezy, drugie aż pławi się w analizie. Nie mniejsze kontrasty są i gdzieindziej. Literatura wlecze się jeszcze dotychczas na szarym końcu, noga za nogą, ciągnąc za sobą cały ogromny bagaż dziewiętnastowiecznych pojęć, które usiłuje sprzedać jako nowy towar, przeciwnie muzyka—ta imponuje świeżością koncepcyj, ich współczesnością. Jednym z jej przejawów jest nawrót do tematów, związanych z Bogiem.

Zjawisko to da się łatwo wytłumaczyć — sztuka muzyczna dalsza jest owym koncepcjom myślowym, urobionym gdzieś kiedyś i przez kogoś na wspólnym warsztacie, które miały „zglejchszaltować” (proszę mi wybaczyć obce wyrażenie, jest ono jednak najdosadniejsze) świat, jego odmiany cywilazycyjne, kulturalne, rasowe...

Przykładów twórczości, wypływającej z przeżyć religijnych, mamy ostatniemi czasy niemało i to pierwszorzędnej jakości: „*Stabat mater*“ i „Litanja” Szymanowskiego, „Święty Boże” oraz koncert wiolonczelowy *op* 24 Maklakiewicza to trwałe pozycje w dorobku muzycznym Polski.

Jaka szkoda tylko, że wykonuje się je pod kierunkiem sił obcych temu duchowi, z którego powstały, jaka szkoda, jaki nietakt i jaki wreszcie brak poszanowania czy poprostu zrozumienia sztuki odtwórczej.

Orkiestrę w piątek prowadził Jascha Horenstein. Pod jego batutą śpiewał dwa tygodnie temu chór kościoła Zbawiciela, wykonując IX-tą symfonję Beethovena... W sprawozdaniu Zarządu Filharmonji — zadomowiony już u nas dyrygent widnieje w rubryce „obcych sił”, co byłcby w zasadzie w porządku, gdyby jednocześnie inne siły, niemniej obce nie figurowały tam, gdzie być powinny nazwiska wyłącznie polskie.

Solistą wieczoru był Kazimierz Wiłkomirski, bardzo dobry wykonawca utworu Maklakiewicza.

W programie *Eroica* Beethovena, „Śmierć i wyzwolenie” Straussa oraz poemat symfoniczny Ludomira Różyckiego „Bolesław Śmiały”. Przyznam się, że wykonanie tego poematu zdziwiło mnie szczerze. Stało się to zapewne wbrew intencji kompozytora. Nie chciałbym sądzić inaczej.

W. NARUSZ

ZMARLI

ŚP. LEON PLUCIŃSKI

DNIA 3 b. m. zmarł jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ziemiaństwa wielkopolskiego, ś. p. Leon Pluciński. Urodzony w 1875 w Karczewie, w pow. Śmigielskim, poświęcił się rolnictwu z wielkiem umiłowaniem. W okresie, kiedy toczyła się zacięta walka o każdą piędź ziemi polskiej, wyrywanej przez pruską Komisję Kolonizacyjną, ś. p. Leon Pluciński należał do tych obywateli ziemskich, którzy organizowali skuteczny odpór społeczeństwa polskiego, przedewszystkiem przy pomocy coraz to lepiej i szerzej rozwijającego się ruchu oświatowego i spółdzielczego.

Przy końcu wojny światowej ś. p. Leon Pluciński stanął w pierwszym szeregu działaczy narodowych. Widzimy go w Naczelnej Radzie Ludowej w Poznaniu, bierze udział w licznych zjazdach związanych z powstaniem wielkopolskiem.

Po wyzwoleniu ziem b. zaboru pruskiego zabiera się znowu do pracy społeczno-gospodarczo-oświatowej. Wobec kwalifikacyj swych i zasług obywatelskich, ś. p. Leon Pluciński powołany zostaje na stanowisko wiceministra b. dzielnicy pruskiej, a w 1921 roku mianowany komisarzem generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w wolnem mieście Gdańsku. Pozostaje na tej placówce do roku 1924 i składa dowód dużych zdolności politycznych na terenie tak trudnym.

Od roku 1924 do 1926 piastował ś. p. Leon Pluciński godność posła na Sejm z ramienia Związku Ludowo-Narodowego. W Sejmie, jako wicemarszałek, zdobył sobie powagę i szacunek nawet u przeciwników politycznych. Z prac sejmowych wycofał się ś. p. Leon Pluciński z powodu złego stanu zdrowia.

Pracował jednak nadal na terenie spółdzielczym, a przedewszystkiem w kółkach rolniczych, którym nieomal całkowicie się poświęcał, piastując godność prezesa Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych od roku 1927 do 1931.

Za zasługi swe Zmarły obdarzony został krzyżem komandorskim orderu Odrodzenia Polski z gwiazdą. Zgon Jego wywołał głęboki żal w szerokich kołach społeczeństwa wielkopolskiego.

Cześć Jego pamięci!

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. dr. Michała Walickiego, w Nr. 23 „M. N.”, dotyczącym mego artykułu, z numeru poprzedniego (22-go), poczuwam się do obowiązku skreślenia paru słów odpowiedzi. Nie mam najmniejszego powodu wątpić o prawdzie któregokolwiek z oświadczeń dr. Walickiego. A więc powtarzam za Nim: „Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości daje dostateczną gwarancję fachowej opieki i pietyzmu w stosunku do dzieł sztuki”. Dalej: „technika zwozu i odwozu zabytków sztuki gotyckiej postawiona została poraz pierwszy bodaj w Warszawie na tak wysokim i dbałym o stan zachowania zabytków poziomie”. Dodam jeszcze od siebie, o czem już dr. Walicki nie wspomniał, iż wiem, że dla dobra wystawy gotyckiej poczynił On daleko idące ofiary, natury osobistej, co świadczy o Jego wielkiej miary idealiźmie i o otoczeniu całej imprezy pieczą, nietylko wiedzy, ale i serca.

Wszystko to każe mi widzieć w dr. Walickim najlepszego dla wystawy gotyckiej opiekuna, w niczem jednak nie przeczy przytoczonemu przezemnie faktowi, iż w dniu, o którym mowa, między godz. 3-cią, a 4-tą p. p., w czasie ładowania rzeźb z wystawy gotyckiej, do wozu, nie było przy tej czynności nikogo, oprócz robotników i woźnych IPS'u. Tego faktu, stwierdzonego przezemnie, podczas bynajmniej nie kilkuminutowej obserwacji, nie mogę żadną miarą, jak chce tego dr. Walicki, nazwać „impresjonistycznym reportażem”. W zwozie i odwozie szacownych zabytków sztuki, często bardzo już nadwyrężonych zębem czasu, istnieją zawsze pewne szanse niebezpieczeństwa. Chodzi o to, by te możliwości wypadku ograniczyć do minimum. W momencie, który opisałem, to minimum, według mnie, nie zostało osiągnięte.

Zapewniam pozatem p. dr. Walickiego, iż poruszyłem tą kwestję, nie dla jakiejś sensacji dziennikarskiej, ani tembardziej w chęci uczynienia komukolwiek krzywdy, lecz w istotnej trosce o stan zachowania przewożonych zabytków. Wystawa sztuki gotyckiej była dla mnie przeżyciem niecodziennem, wszystko, co z niej wynika, wziąłem sobie głęboko do serca — świadczą o tem chociażby trzy moje, poświęcone tej sprawie, artykuły w „Myśli Narodowej”.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku.

WIKTOR PODOSKI

POKŁOSIE

KONTRATAKI

NIEŁATWO jest zorjentować się w tem, co się dzieje, jakie skutki i jak daleko posunięte konsekwencje przyniosą ostatnie posunięcia w Stanach Zjednoczonych. Dzieli nas od tych wypadków nietylko wielka odległość geograficzna, ale również nie mniejsza różnica obyczaju politycznego i w tym wypadku prawdziwsze, niż kiedykolwiek, jest spostrzeżenie, że gdy dwaj czynią to samo, to nie jest to samo. Orjentację utrudnia jeszcze to, że w dobie nadzwyczaj rozwiniętych technicznie środków komunikacji i dzienników, podających wiadomości o wszelkiego rodzaju błahostkach, wydarzających się u antypodów, rzeczy najważniejsze się przemilcza, albo podaje w formie skażonej, tak, jak to jest wygodniej wielkim handlarzom, jakimi się stali wydawcy pism na zachodzie.

Przypomnijmy sobie jednak kolejność etapów akcji prezydenta Roosevelta, a znajdziemy w niej może klucz do odczytania tego szyfru. Więc pamiętajmy, że najpierw był krach giełdowy i bankowy, który uzależnił cały system bankowy Stanów od pomocy skarbu państwa, że pomoc ta została w szerokim zakresie udzielona i co za tem idzie banki całkowicie uzależniono od państwa. Dalej wspomnijmy na śledztwa, wytoczone najrozmaitszym magnatom finansowym, nie wyłączając nawet takich, jak np. dom Morgana, które uchodziły za nietykalne i skompromitowanie tych potentatów w opinji publicznej. Wreszcie nawiązanie przez prezydenta Roosevelta bezpośredniego kontaktu z miljonowemi rzeszami obywateli za pomocą jego systematycznych pogawędek radjowych. Zrozumiemy wówczas, że wielki kapitał finansowy i przemysłowy musiał, chociaż ze zgrzytaniem zębów, godzić się z reformami prezydenta.

Orzeczenie Najwyższego Trybunału, odmawiające sankcji prawnej podstawom tych reform, trzeba uważać za kontratak tych potęg kapitału. Umysłowość amerykańska wcale nie skłonna jest do wyznawania maksym w rodzaju *„pereat mundus, fiat iustitia"*, jak to się zresztą okazało niedawno w orzeczeniu też trybunału, tyczącem się klauzuli wypłat w złocie. Niepodobna przypuścić, żeby trybunał ów wpędzał kraj w odmęt chaosu jedynie tylko dla poszanowania „pryncypjów". Coś się musiało odmienić w położeniu, skoro zdecydowano się na taki kontratak, na podstawienie nogi prezydentowi, gdy ten jeszcze swego dzieła nie dokończył.

Na reformy Roosevelta można się zapatrywać rozmaicie. Pewne jest jednak, że obecne posunięcie — to bardzo wielkie ryzyko, tem większe, że z nadłamanym teraz orężem związały się nadzieje licznych rzesz ludności. Trudno przypuścić, żeby tych nadziei się wyrzeczono; walka przybierze pewno ostrzejsze formy; zaryzykowanie tej walki wskazywałoby na polepszenie szans kapitału, bo przecież nie kierują nim szaleńcy.

*
* *

Do rzędu kontrataków trzeba też zaliczyć wypadki francuskie. Znane są obawy, jakie oddawna żywiono we Francji, co do możliwości utrzymania wartości obecnej waluty. Stały od lat deficyt budżetowy, tworzący w ciągu ostatnich pięciu lat łączną sumę 27 miljardów franków, ujemny bilans handlowy kazały spoglądać z obawą w przyszłość, mimo bogactwa kraju i tych zgórą osiemdziesięciu miljardów w złocie, zgromadzonych w piwnicach banku Francji. Położenie było jednak nie tyle groźne przez to, co jest, jak raczej przez to, co będzie, przez niepodobieństwo, jakie czuli wszyscy, naprawienia sytuacji przy obowiązującym systemie rządzenia. Wszak polityk doświadczony, minister i prezes ministrów, doniedawna optymistyczny A. Tardieu oświadcza w wydanej przed tygodniem książce, że: po pierwsze obecny stan polityczny Francji nie da się już długo znieść, a po drugie stan ten nie da się na drodze legalnej polepszyć. Prawdziwość tego ostatniego twierdzenia udowodniło fatalne *fiasco* nieśmiałych prób reformy, przedsięwziętych przez popularnego Doumergue'a. Troskało się o przyszłość wielu, ale skąd przyszedł nagły atak na franka?

Wiemy o kampanji dewaluacyjnej, prowadzonej przez dwu wybitnych polityków, byłych ministrów. Jednego z nich p. Patenotre, otwarcie pomawiają o cele spekulacyjne. Ale z drugiej strony wiadomo jest, że przeciw dewaluacji opowiada się cały świat gospodarczy, uważając ją za klęskę. Któż więc rozpętał spekulację?

Tu zza kulis wychyla się postać p. Horacego (!) Finaly (żyd węgierski z pochodzenia), prezesa *„Banque de Paris et des Pays Bas"*, potężnej instytucji finansowej: tu ma spoczywać kierownictwo ataku na franka.

W jakim celu? Cele wielkiej finansjery nie są łatwe do odgadnięcia, a od ich ogłaszania zwykle się ci panowie wstrzymują. Nie jest jednak prawdopodobne, żeby chodziło tu tylko o wywołanie zamieszania walutowego, podczas którego spekulacja miałaby otwarte pole do gromadzenia wielkich zysków. Cele są napewno dalej idące. Może częściowo łączą się z tajemniczą polityką bloku antizłotowego, ale napewno mają podkład polityczny.

Wzmożona w ostatnich czasach niesłychanie aktywność polityki niemieckiej napotyka właściwie na opór samej tylko Francji. Osłabić tego przeciwnika, chociażby tylko chwilowo, przysporzyć mu kłopotów wewnętrznych jest manewrem, leżącym w interesie Niemiec, podejrzenia muszą się skierowywać ku temu, kto korzysta z zamieszania. A trzeba pamiętać, że już przed dziesięciu laty korzystano z podobnego oręża, przy łaskawej pomocy tej samej finasjery międzynarodowej.

„Ten sam sztuk i nawet ten sam manjer", — mówi sobie pewno p. Horacy po węgiersku.

ARGUS

NA MARGINESIE

Prof. Piccard po powrocie z Polski miał podobno powiedzieć, że „Polska nadaje się ze wszech miar do komunikacji balonowej, ale z komunikacją kołową jest gorzej"...

*

W wyścigu pomysłów pomnikowych rekord wziął artysta-rzeźbiarz Stanisław Ostrowski, bo zażądał (w „Kur. Por.") kredytu 30 miljonów złotych na to, by mógł wykonać pomysł w sposób godny jego pomysłowości.

Suma ta nie zaciąży — powiada — na żadnym budżecie, bo „powinna być osiągnięta jako pożyczka m. Warszawy". „Warszawa pokryć powinna tę pożyczkę w ciągu jednego miesiąca"... „Miasto powinno przystąpić w tej chwili do realizacji"...

Bodaj to być rzeźbiarzem i finansistą zarazem!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM